



## Wybory 2001 w Gminie Ożarów

fot. M. Sus i J. Myjak



# OŻARÓW

Samorządowe pismo społeczno-kulturalne

Nr 10/30 październik 2001 Rok III ISSN 1507-7438 Nakład 1000 egz.



© PAIR MYJAKPRESS



Fot. M. Sus

## ZAWADA-BAŁTÓWKA-PODLESIE

Zawada - Bałtówka - Podlesie, oficjalnie to jedna wieś, objęta nazwą Zawada, zgodnie z aktualnym stanem administracyjnym. Ongiś były to trzy oddzielne wioski, ale z biegiem czasu kurczyła się liczba mieszkańców każdej z nich i tak powstało sołectwo Zawada. Jednak ożarowanie nadal mówią „zakręt w Bałtówce”, określając w ten sposób charakterystyczne i niestety niebezpieczne miejsce na szosie Kielce - Lublin, gdzie zda-

rzyło się kilka groźnych wypadków.

Zawada dawniej oddalona była od obecnej ważnej drogi krajowej. Usadowiła się bowiem niżej, w prastarej dolinie ciągnącej się od Śródborza, Ożarowa. Szosa Kielce - Lublin przyciągała jednak nowych osadników i tak stopniowo trakt Ożarów, od stacji paliw do zakrętu w Bałtówce, obrastał nowymi domami, warsztatami, małymi zakładami - ten proces nadal trwa. Szczególne jego nasilenie daje się zaznaczyć w ostatnich latach. W planach przestrzennego zagospodarowania miasta Ożarowa i jego

najbliższego sąsiedztwa pas działek po obu stronach szosy to taka ożarowska strefa gospodarcza. Zapewne za kilka lat będzie to najaktywniejsza część gminy.

Innym wyróżnikiem Bałtówki jest sadownictwo, jako że tu kończy się sandomierskie zagłębienie ogrodnicze. We wsi tej powstały nowoczesne i duże sady, przede wszystkim jabłoniowe, choć gleby nie są najwyższej klasy. Zapewne ta dziedzina rolnictwa może dać mieszkańcom tych miejscowości szanse na wyjście z kłopotów finansowych.

J. Myjak



## CZAS ZATRZYMANY NA KLISZY - ZAWADA-BAŁTÓWKA-PODLESIE

ze zbiorów rodzinnych: Chruściaków, Liwińskich, Matyjasków



Kawalerka z Zawady - lata 30.



Kamieniołom w Zawadzie - lata 40.



Na wiejskiej drodze - lata 40.



Rodzina Chruściaków - 1962 r.



Irena i Jan Chruściakowie z Anglii w otoczeniu krewnych



Rodzina Chruściaków - 1962 r.



Rodzina Liwińskich i Chruściaków

# KRONIKA OZAROWSKA

◆ 18 października w siedzibie Starostwa Powiatowego w Opatowie odbyło się uroczyste spotkanie połączone z wręczeniem nagród z okazji Święta Edukacji Narodowej. Na spotkanie zostali zaproszeni nagrodzeni nauczyciele powiatowych szkół średnich oraz placówek oświatowo-wychowawczych. Zespół Szkół Zawodowych w Ożarowie mocno zaznaczył swą obecność w Starostwie. Nagrodę Świętokrzyskiego Kuratora Oświaty odebrał dyrektor ZSZ, p. Mirosław Adamek, a Nagrodę Starosty Opatowskiego - wicedyrektor, p. Henryk Żelazowski.

Ponadto Nagrody Dyrektora otrzymali: Janusz Czuba, Krzysztof Górski, Marian Kowal, Marta Kozieł, Elżbieta Mendyk, Józef Nowacki, Wiesława Pastuszka, Krzysztof Płatek, Helena Sekuła, Janusz Sitariski, Artur Sobczak, Marek Terczak. Gratulujemy!

◆ 22 października w Kieleckim Centrum Kultury oficjalnie wręczono doroczne stypendia Prezesa Rady Ministrów RP. Za uzyskanie najwyższej średniej ocen (w danym typie szkoły) w Zespole Szkół Zawodowych w Ożarowie stypendia otrzymali: Beata Popielnicka - uczennica kl. II „a” Liceum Technicznego (śr. 5,07) oraz Michał Mizera - uczeń kl. V „a” Technikum Elektronicznego (śr. 5,73).

Kilka tygodni wcześniej stypendium ufundowane przez Starostę Opatowskiego otrzymał Mariusz Kos - uczeń kl. IV „a” TE.

◆ Podczas tegorocznego pasowania pierwszoklasistów w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Ożarowie Alicja Różańska-Cembrowska otrzymała Medal Edukacji Narodowej. Tym samym medalem uhonorowana została również Wanda Koltunowicz, nauczycielka z tej samej placówki i działaczka związkowa.

◆ Publiczna Szkoła Podstawowa im. Edwarda Szyłki z Ożarowa została laureatem ogólnopolskiego konkursu gazety „Super Express” pn. „Superszkola 2001”. Wzięło w nim udział ponad 760 szkół. Nasza redakcja gratuluje laureatom.

◆ Wiesław Niziołek - wychowanek Domu Pomocy Społecznej w Sobowie - zajął trzecie miejsce w Ogólnopolskim Konkursie Plastycznym, organizowanym przez Koło Plastyczne „Kleks”, a działającym przy specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Suchedniowie. Tematem pracy było namalowanie plakatu Olimpiad Specjalnych, jakie corocznie odbywają się w Suchedniowie. Wiesław wykonał plakat w technice batiku na płótnie w pracowni plastycznej M-GOK w Ożarowie pod kierunkiem Eleonory Czuby.

◆ 25 października na scenie M-GOK w Ożarowie zaprezentowano spektakl pt. „Przepaść” w wykonaniu aktorów łódzkiego teatru „Zwierciadło”. Występ obejrżeli tradycyjnie uczniowie ZSZ i ZSO w Ożarowie. Przedmiotem rozważań tym razem były wybory moralne, przed którymi staje każdy młody człowiek.



### ZAPROSILI NAS - BYLIŚMY TAM

◆ na „Rodzinną Biesiadę Muzyczną”, organizowaną w dniach 19-21 października w Staszowie przez Wojewódzki Dom Kultury w Kielcach, Filharmonię Świętokrzyską w Kielcach, Urząd Miasta i Gminy

w Staszowie i Staszowski Ośrodek Kultury;

◆ na sesję naukową „Ksiądz Józef Rokoszyński (1870 - 1931) - życie i dzieło” w Muzeum Diecezjalnym w Sandomierzu (Dom Długosza) 19 października, organizowaną przez Towarzystwo Naukowe Sandomierskie i Muzeum Diecezjalne w Sandomierzu;

◆ na spotkanie autorskie z pisarzem Zbigniewem Domino, zorganizowanym 24 października w Bibliotece Miejskiej w Tarnobrzegu;

◆ na otwarcie wystawy poświęconej pisarzowi Stanisławowi Młodożeńcowi 21 października w Sandomierskim Muzeum Okręgowym (zamek).

### POSTANOWIENIA RADY MIEJSKIEJ

Kolejna sesja Rady Miejskiej odbyła się w Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury w Ożarowie. Przewodził jej Mirosław Adamek. Na początku podsumowano konkurs „Piękna i bezpieczna zagroda”. Laureaci otrzymali od Zarządu i Rady Miejskiej dyplomy i nagrody.



Pierwsze miejsce zajęła zagroda rodziny Zwolińskich z Wyszomtowa, drugie zagroda rodziny Bernaciaków z Grochocic, a trzecie rodziny Czajkowskich z Tomina. Następnie Rada Miejska zatwierdziła kilka uchwał.

Rozwiązała Miejsko-Gminną Komisję Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, dlatego że z punktu widzenia prawnego od 1 września 2001 r. jej powoływanie leży w kompetencji Zarządu, a nie Rady. Na najbliższym posiedzeniu Zarząd powoła Komisję w dotychczasowym składzie - a więc zmiany mają tylko charakter formalny. Kolejna podjęta uchwała określała liczbę punktów sprzedaży napojów alkoholowych (powyżej 4,5% zawartości alkoholu, z wyjątkiem piwa). Utrzymuje ona dotychczasową liczbę punktów sprzedaży na terenie gminy Ożarów. Kolejne uchwały zbywają nieruchomości stanowiące własność gminy Ożarów w Szymanówce i Nowem. Nasi czytelnicy zainteresowani nabyciem tych działek budowlanych mogą uzyskać informacje szczegółowe w siedzibie Urzędu Gminy.

Rada Miejska podjęła także uchwałę w sprawie przystąpienia do zmiany w Planie Zagospodarowania Przestrzennego Gminy Ożarów. Uchwała ta rozpoczyna proces przekwalifikowania we Włonicach i Julianowie gruntów leśnych na piaszczynę, czyli kopalnię piasku.

Kolejna podjęta uchwała dotyczyła zagospodarowania byłej Szkoły Podstawowej w Jankowicach. Decyzją Rady Miejskiej obiekt ten zostanie oddany w używanie Wspólnocie Chleb Życia, prowadzonej przez siostrę Małgorzatę Chmielewską. Organizacja ta chce urządzić w budynku szkoły miejsce pobytu dla samotnych matek z dziećmi i dla ludzi starszych. Wspólnota od dawna prowadzi takie domy dla bezdomnych, chorych, kobiet z dziećmi, zyskując autentyczne uznanie w społeczeństwie. Trzeba dodać, że jankowicki dom będzie służył przede wszystkim potrzebującym z naszej gminy. Ostatnia z podjętych uchwał dotyczyła zmian w tegorocznym budżecie.



## NIE BĘDZIE WYWIADU



Ta śmierć wywołała wielkie poruszenie i autentyczny żal wśród tych, którzy go znali. Księża z natury rzeczy w naszym katolickim społeczeństwie cieszą się oficjalnym szacunkiem, wynikającym bardziej z tradycji niż autentycz-

nego przekonania. Tragiczna śmierć biskupa radomskiego, księdza Jana Chrapka, poraziła wielu.

Odszedł wielki duchowny i wielki człowiek, choć wyjątkowo skromny i prosty w kontaktach z ludźmi. Szczególną estymą cieszył się wśród dziennikarzy, jako że był odpowiedzialny za kontakty Kościoła z mediami i z tym środowiskiem przyjaźnie współpracował.

Odszedł w pełni sił twórczych duchowny, który dla wielu uosabiał nową twarz Kościoła, dla wielu, którzy od niego chcieli odejść, zniechęceni postawą niektórych księży, on był źródłem refleksji i zatrzymania tej decyzji.

Odszedł również wybitny syn ziemi opatowskiej, wywodzący się z gminy Iwaniska. Biskupa Chrapka poznałem na wernisazu Jurija Sulimowa (znanego już w Ożarowie malarza) w Wyższym Seminarium Duchownym w

Radomiu. Uroczysta atmosfera nie sprzyjała przeprowadzeniu wywiadu dla naszego pisma. Rozmawialiśmy raczej luźno, oczywiście o wspólnej „małej ojczyźnie”, Sandomierszczyźnie, którą wciąż w swoim sercu nosił biskup Chrapek. Wspominał Iwaniska, piękne świętokrzyskie pejzaże, sandomierskie i opatowskie świątynie, i ludzi tej ziemi, rodziców, znajomych i twórców. Radość mu sprawił obraz Sulimowa z zatrzymaną na płótnie częścią krainy lat młodości.

Umówiliśmy się na wywiad dla „Ożarowa”, który z biskupem miałem przeprowadzić jesienią tego roku. Niestety, nie będzie tej rozmowy. Nie pierwszy raz w moim dziennikarskim życiu zdarza się, że nie zdążyłem dotrzeć do tych, z którymi pragnęłam rozmawiać. Z reguły byli to sędziwi ludzie. Biskup ksiądz Jan Chrapek odszedł za wcześnie - jego nieobecność to wielka strata nie tylko dla diecezji radomskiej.

tekst i foto  
Józef Myjak

## PRACA NIEPODLEGŁOŚCIOWA I ODZYSKANIE NIEPODLEGŁOŚCI W OŻAROWIE I OKOLICY W 1918 ROKU

Ożarowszczyzna - podobnie jak pozostała część Opatowszczyzny - w czerwcu 1915 r. dostała się pod panowanie austriackie. W wyniku letniej ofensywy wojsk austro-węgierskich, w których służyli również legionści I Brygady Legionów Polskich (o czym kilka razy już pisaliśmy), tereny dzisiejszej gminy dostały się w strefę bezpośrednich działań wojennych.

Zaborca rosyjski pod naporem wojsk centralnych wycofywał się na wschód, za Wisłę. Intensywne walki spowodowały poważne zniszczenia, m.in. spalili się Ożarów. Po przejściu frontu zapanowała wojenna administracja austriacka.

W nowej sytuacji działacze niepodległościowi zaczęli wieloletnie przygotowania do wyzwolenia Polski. Głównym organizatorem - w myśl dyrektyw Józefa Piłsudskiego - została Polska Organizacja Wojskowa (POW). W guberni radomskiej utworzono Komendę Okręgu, której podlegała m.in. Komenda Obwodu w Ostrowcu, a tej zaś komenda lokalna (jedna z pięciu) w Ożarowie. Podlegały jej placówki organizacyjne w Ożarowie, Karsach, Czachowie, Rachowie, Łęgu, Bronisławowie, Janikowie. Komendantem początkowo (od 15 lipca 1917 r.) był Feliks Tarnowski, a następnie (od 7 listopada 1917 r.) Walerian Oskar Kunat. W ramach POW działało stowarzyszenie sportowo-turystyczne „Piechur”, które było paramilitarną organizacją urządzającą głównie ćwiczenia. W okolicach Ożarowa 8 i 9 września 1917 r. odbyły się ćwiczenia obwodu ostrowieckiego.

Rozkaz zorganizowania w Ożarowie komendy lokalnej POW otrzymał Walerian Oskar Kunat, ostrowiecki działacz POW. Stanowisko objął 7 listopada 1917 r., ale zagrożony aresztowaniem, musiał wyjechać do Ostrowca. Następcą jego został Feliks Tarnowski, który pełnił już funkcję komendanta (od 15 lipca 1917 r. do 7 listopada 1917 r.). Był on związany z działalnością straży pożarnej. Jako jej instruktor wyjechał w teren, gdzie kolportował niepodległościowe pisma i prowadził agitację.

W listopadzie 1918 r. powstał Komitet Obywatelski Miasta i Gminy Ożarów, który zajął się tworzeniem niepodległościowych zrębów.

W rozbrajaniu austriackich żołnierzy brali udział młodzi mieszkańcy Ożarowa, m.in. Henryk Blinowski. W wyniku nowej sytuacji pod koniec 1918 r. w Ożarowie zaczęły funkcjonować już polskie władze.

J.M.

Komitet Organizacyjny Obchodów  
Dnia Niepodległości  
w Ożarowie

ZAPRASZA

mieszkańców miasta i gminy Ożarów  
do wzięcia udziału  
w uroczystych  
obchodach Święta Niepodległości

PROGRAM OBCHODÓW  
DNIA NIEPODLEGŁOŚCI.

1. 12.00 - Msza święta za Ojczyznę - kościół p.w.św. Stanisława w Ożarowie.
2. 13.00 - przemarsz pocztów sztandarowych i delegacji pod pomnik niepodległościowy:  
- złożenie wieńców i wiozank kwiatów,  
- przemarsz uczestników uroczystości do Domu Kultury.
3. Uroczysta otwarta sesja Rady Miejskiej - sala widowiskowa Domu Kultury:  
- referat okolicznościowy,  
- widowisko słowno-muzyczne.

11 listopada 2001r.

## JANOWICKI EPIZOD ULANA ANDRZEJA STRUGA



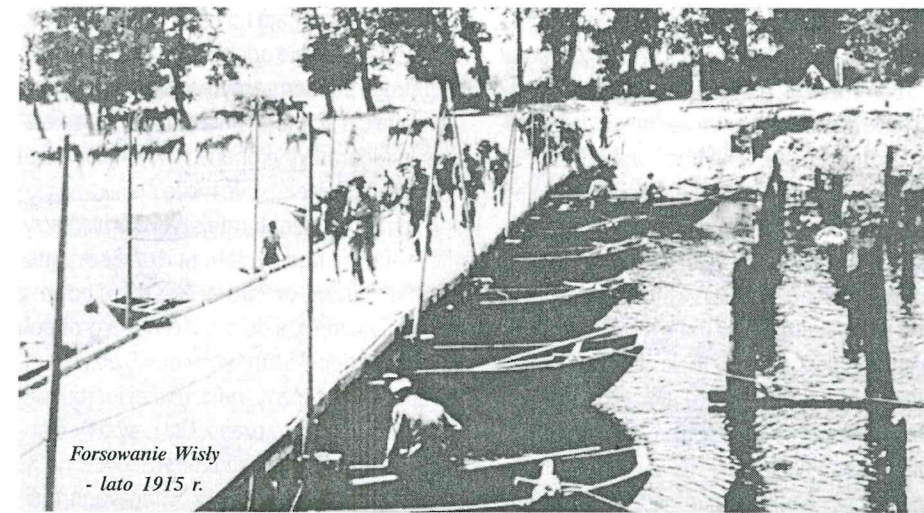
Walki legionowe lat I wojny światowej pozostawiły w polskiej literaturze wspomnieniowej szereg dzieł, których autorami byli uczestnicy tamtych wydarzeń, pisarze, a jednocześnie żołnierze J. Piłsudskiego. W jednym z poprzednich numerów pisma przypomniałem tragiczną, literacko-dokumentalną wizję zniszczonego Ożarowa, utrwaloną przez Władysława Orkana.

Kolejnym twórcą, który swoje wojenne doznania opublikował w formie pamiętnika, poświęcając nieco uwagi ziemi ożarowskiej, był prozaik i publicysta Tadeusz Galecki, piszący pod pseudonimem Andrzej Strug. Urodzony w 1871 r. w Lublinie, całe swoje życie związany był z walką o niepodległość. Więzień Cytadeli warszawskiej, zesłaniec, członek PPS, w 1914 r. wstąpił do kawalerii legionowej, biorąc czynny udział w walkach. Oto jak ułan A. Struga zapamiętał autor innego wojennego pamiętnika, także ułan, Wincenty Solek: *Tu po raz pierwszy mogę przyjrzeć się jadącemu bokiem drogi na białej, kurtyzowanej klaczy Strugowi. Z twarzą o regularnych rysach i orlim nosie, z przyciętymi na karku siwymi włosami, kontrastującymi z młodą jeszcze twarzą, ma wygląd rycerski, a zielony sznurek przy mundurze świadczy, że jest podoficerem.*

A. Strug jest autorem m. in. „Odnaki za wianą służbę”, dziennika, w którym słowami fikcyjnego, nieco egzaltowanego osobą J.

Piłsudskiego, młodego ułana Sylwka, przedstawia własne przeżycia i przemyślenia. Tytułowa „Odnaka” to nazwa jednego z szacownych odznaczeń legionowych.

W październiku 1914 r. oddział, w którym pełni służbę Strug, dociera poprzez Rożki, majątek dzierżawiony przez rodzinę swojego dowódcy, Władysława Belinę-Prażmowskiego, w okolicy Ożarowa. Przez kilka dni pisarz kwateruje w zabudowaniach dworskich w miejscowości Janowice. W tym miejscu wyjaśnijmy, że autor myli nazwę miejscowości, podając ją jako Jankowice Błotne. Nie tylko Strug ma z nią trudności. Wspomniany wcz-



Forsowanie Wisły  
- lato 1915 r.

śniej W. Solek pisze z kolei o Janowicach Błotnych. Tymczasem chodzi o Janowice Bagniste, nazwę, której drugi człon jest już obecnie nie używany. Pierwszy zapis związany z tą miejscowością pojawia się pod datą 11 października. Kolejny, dwa dni później. Oddajmy głos autorowi: *Jankowice Błotne (! - M.L.), 13 października 1914 r. Oj, błotno tu, błotno! Żyzna ta ziemia sandomierska. Co się tu wyrabia po drogach! Niemcy, Austriaci walą*

w błoto całe sterty najpiękniejszego zboża, żeby móc przejechać. Nasz pluton był na wywiadzie ku Wiśle przez Ożarów. Zachlapaliśmy się po uszy, na koniach nawet maści nie poznać. Biada temu, kto ma konia siwego. Tu nie wystarczy słomą przejechać - trza myć i szorować. Nie żałuję tego dla Lucyny [koń A. Struga - przyp. M. L.], ale roboty z nią dużo. Belina wciąż grozi, że ją zabierze z kawalerii - bo za biała, zanadto znaczna... Ja jej bronie, jak mogę. Słyszałem, że w wojskach angielskich malują konie, nawet na zielono, żeby je ukryć w terenie. Zaraportowałem posłusznie, żebym to samo zrobił, gdybym miał tylko taką angielską farbę. Zwymyślał mnie [Belina - przyp. M. L.], a teraz cały szwadron się ze mnie wysmiewa... Następnego dnia, kwaterujących w stajniach dworskich ułanów, odwiedził Wacław Sieroszewski, slyn-

ny pisarz, działacz niepodległościowy, także legionista, kwaterujący wraz z J. Piłsudskim w pobliskich Jakubowicach. A. Strug pisze: *Była uczta w stajni. Przywiózł sardynek, kiełbasy, cukierków... Skarżył się, że go Komendant nie chce puścić do Beliny, każe robić politykę... Gadał pięknie, ochoczo i z zapalem, wycalował się z nami i pojechał... Oto wzór obywatela. Zasłużony Sybirak, stary - a nie dba o wygodę...*

Kilka dni później szwadron kawalerii Beliny-Prażmowskiego opuścił okolice Ożarowa i pomaszerował w kierunku Kielc.

A. Strug brał również udział w majowych i czerwcowych walkach 1915 r. nad Koprzywianką, pod Konarami, Bidzinami, Ożarowem i Tarłowem. Niestety, w pamiętniku istnieje luka, której autor nie zdążył uzupełnić z powodu rany otrzymanej w bitwie na Lubelszczyźnie. Jak sam wspomina: *Nie będę mógł pisać... Przecież bardzo dużo mam do zapamiętania. Z tamtych czasów opuściłem... okopy nad Nidą... Potem Kozinek. A śmierć Dudzińca i Karskiego?... Kiedy ja to zdąży wypelnić?*

Marek Lis





# ZADUSZKOWE REFLEKSJE

Umarłych pamięć dotąd trwa,  
Dokąd pamięcią im się płaci

W. Szymborska

Cmentarz jest miejscem szczególnym w ludzkiej pamięci i świadomości. W polskiej tradycji i kulturze chyba szczególnie podwójnie (?).

Mysli nasze często kierują się do tego miejsca, gdy zbliża się listopad, coraz częściej myślimy o cmentarzu w różnych aspektach.

Jeden dotyczy wspomnień o bliskich, którzy już odeszli i tam „spoczywają”, drugi wiąże się z uporządkowaniem miejsca ich pochówku. W naszej tradycji urosło to niemal do ceremoniału porządkowania grobów.

Nekropolie są bardzo różne - te duże i powszechnie znane: Cmentarz Łyczakowski we Lwowie, Rossa w Wilnie, Powązki w Warszawie. To miejsca spoczynku wybitnych postaci zapisanych w dziejach narodów, pomników mających dużą wartość artystyczną. Ale nie tylko te znane mają swój charakter. Niepowtarzalne są też małe, wiejskie cmentarze. W pełni zgadzam się z Joanną Siedlecką, która w książce pt. „Jaśniepanicz” pisze o przybysławickim cmentarzu: „To najpiękniejszy wiejski cmentarz, jaki znam. Płaczące białe brzozy, stare drzewa, pełno kwiatów, ptaków. Proste, drewniane krzyże. (...) Cmentarz leży na wzgórzu i widać dobrze Jakubowice - wieś jego dziadów”. Czy mieszkańcy tej parafii wiedzą, że tak jest określany „ich” cmentarz, czy wie o tym ksiądz miejscowej parafii? Jak zapewne zorientowani wiedzą, w cytacie chodzi o grobowiec rodziny Witolda Gombrowicza.

Nekropolia nasza jest miejscem spoczynku setek parafian, zwykłych, pracowitych ludzi tej ziemi, ale i osób, które w jakiś sposób „zapisali” się w historii lokalnej społeczności z racji rodzinnych korzeni, działalności czy życiowych, nieraz tragicznych losów. O niektórych z nich świadczą już tylko pomniki cmentarne, bo pamięć, ze względu na znaczny upływ czasu, zanika. Aby trwała, należy te materialne znaki pamięci ocalić od zniszczenia, a co za tym idzie, od zapomnienia.

Bardzo różny jest stan tych pomników. Jeżeli żyją jeszcze bliscy, wiadomo jest, że są one zadbane i porządkowane. Tak jest m.in. z nagrobkiem ś.p. Genowefy Rzęsy - doktor nauk biologicznych, która była autorką wielu

prac naukowych, czy symbolicznej mogiły i tablicy upamiętniającej męczeńską śmierć zamordowanego w Katyniu ś.p. porucznika Bolesława Wawrzkiwicza.

Ale szybkiego ratunku wymaga pomnik, chyba jeden z najwartościowszych na naszym cmentarzu i ze względu na jego wartość artystyczną, i osobę tam pochowaną. Jest to pomnik tak bardzo związanego z przeszłością tej okolicy Cypriana Baczyńskiego, pochodzącego ze Śmitowa. Ta materialna częśćka historii okolic, jaką jest powyższy nagrobek, powinna i musi być ocalona dla przyszłych pokoleń. Czas nieubłagane dokonuje na pomniku dzieła zniszczenia.

Uwagę zwracają na cmentarzu może nie wartościowe, ale odchodzące w przeszłość i budzące pewien sentyment liczne nagrobki w kształcie ściętego pnia z krzyżami, aniołami, księgami. Wykonane w XIX i pierwszej połowie XX wieku, być może z janikowskiego kamienia, przez tamtejszych kamieniarzy. Ilekroć refleksji nad życiem budzą rzeźby małych aniołków, często w kłęzącej pozie, z dłońmi złożonymi do modlitwy, na grobach małych dzieci? Stan tych i powyższych nagrobków jest różny, najczęściej jednak widać na nich upływ czasu. Dla przyszłych pokoleń należy je ocalić od zniszczenia. Żyjący, często już dalsi członkowie rodzin, winni chyba w miarę swych możliwości i umiejętności zadbać o nie. W przypadku braku krewnych może zainteresować się nimi odpowiednie służby (?), aby fachowo odnowić je i zabezpieczyć. Celowo użyłam tu słowa „fachowo”, gdyż są niestety przykłady niewłaściwego „obchodzenia się” z materiałem, jakim jest kamień - on raczej powinien zostać kamieniem. Żałośnie wygląda taki pomnik zamalowany farbą - intencje były dobre, efekt tych zabiegów nie najlepszy.

Dopiero w tym miejscu poruszę sprawę nagrobków rodziny Gombrowiczów. Sporą powierzchnię zajmują proste, duże kamienne płyty z napisami i ciekawy pomnik dziadków pisarza przybyłych do tej ziemi z dalekiej guberni kowieńskiej. Dziadek Onufry ma w trumnie woreczek z ojczystą, litewską ziemią. „(...) W bagażu tym znajdował się woreczek z cmentarza wemigolskiego (miejsca spoczynku kilku pokoleń Gombrowiczów), z którym Onufry pochowany został w dwadzieścia lat później na cmentarzu przybysławickim”. Jak wymownie fakt ten wyraża miłość do stron ojczystych, więzi i ciągłość po-

koleń. Pomniki powyższe kryją szczątki wyjątkowej rodziny, nie tylko z tego względu, że są to najbliżsi wybitnego pisarza, Witolda Gombrowicza. Stan nagrobków jest taki, że pilnie wymagają odnowienia, inaczej czas dokona na nich swego dzieła zniszczenia. To powinni zrobić fachowcy lub choćby ktoś pod ich nadzorem. Nieumiejętne odnowienie może być dla nich zgubne. Konieczne jest też zwykle uporządkowanie otoczenia, gdyż część tych nagrobnych płyt jest prawie zarośnięta. Wydaje mi się, że pewną rolę będzie miał do spełnienia ksiądz proboszcz. W krótkim czasie swego tu „urzędowania” tak dużo już zrobił i myślę, że przyjdzie czas na zainteresowanie się tym szczególnym miejscem, oczywiście przy udziale parafian.

A może któraś z pobliskich szkół zadbała by o uporządkowanie i dalszą opiekę nad tymi pomnikami? Co prawda twórczość Witolda Gombrowicza nie jest omawiana w szkole podstawowej, ale jest okazją, by dzieciom z tych okolic przybliżyć nieco tę postać, nie wdając się w tajniki jego literatury. Być może umiejętne przybliżenie tych postaci (pomocna będzie tu książka pt. „Jaśniepanicz” Joanny Siedleckiej) stanie się czynnikiem głębszego, uczuciowego „przywiązania” do swojej „małej ojczyzny” i dumy z jej przeszłości. A taka wspólna wycieczka na cmentarz ma w sobie dużo różnych elementów wychowawczych. Z pełnym przekonaniem piszę o tym, pomna swych doświadczeń jako były (niezupełnie) pedagog.

Być może oprócz zwykłych prac porządkowych konieczna będzie interwencja konserwatora zabytków? Sprawę uważam za otwartą.

Nie można pominąć tu faktu, iż parę lat temu na naszym cmentarzu „zabezpieczone” zostały mogiły nieznanymi żołnierzami, którzy zginęli w wojnie obronnej we wrześniu 1939 roku. Zwykle ziemne mogiły z drewnianymi krzyżami otrzymały lastykowe estetyczne płyty, masywne krzyże i czytelne żołnierskie tablice. Tu refleksja z przeszłości - w dzieciństwie na tych ziemnych grobach układaliśmy krzyżyki z czerwonej jarzębiny, gałązki jedliny, paliły się na nich maleńkie, metalowe świeczki - znicze. Dziś są to płyty, stoją na nich chryzantemy, palą się szklane znicze. Okazuje się, że czas działa nie tylko niszcząco. Dobrze byłoby, aby w przypadku nagrobków, o których wspomniałam wyżej, ten czas zadziałał też na ich korzyść, aby były dla przyszłych pokoleń świadectwem kultury i przeszłości tej ziemi.

Halina Stec Kwaśniewicz

## DRAMATYCZNY EPIZOD STAROSTY KACZORA W LASOCINIE

Przypadkowo będąc u Pana Marka Gołasy, kierownika Wydziału Oświaty i Kultury Powiatu Opatowskiego, sięgnąłem z braku zajęcia po czasopismo znajdujące się na jego biurku, miesięcznik wydawany przez samorząd gminy Ożarów. Z dużym zainteresowaniem i uwagą najpierw przejrzałem, a później dokładnie przeczytałem. Miesięcznik, wydawany z dużym zapałem przedmiotem, pewnie to zasługa J. Myjaka, doświadczonego redaktora. Wiele gmin próbowało wydawać podobną gazetę. Z braku doświadczenia po pierwszym numerze lub drugim zaprzestano wydawania. Tak było np. z gminą Baćkowice. A szkoda - słowo pisane zostaje, mowa zwykle po latach ulega zapomnieniu lub zostaje zniekształcona.

Spuentuję krótko, z przyjemnością będę uważnym czytelnikiem waszego wydawnictwa, propagatorem i unizonym sługą. Co skłoniło mnie do streszczenia tych słów? Otóż w 1945r. losy mojego ojca, pierwszego Starosty Opatowskiego w wyzwolonej Polsce, związane były z pewnym wydarzeniem, historią, która miała miejsce w gminie Ożarów i dawnej gminie Lasocin.



Jan Kaczor rys. Tomasz Staszewski

Jan Kaczor w swoich wspomnieniach tak przedstawił owe wydarzenie.

Pewnego dnia, jesienią 1945 roku, wybrałem się w sprawach służbowych do kilku gmin: Boddzechów, Ćmielów, Ożarów i Lasocin. Gminę Lasocin, jako wysuniętą najdalej w kierunku Wisły, zostawiłem sobie na koniec.

Budynek gminy, jak zresztą i cała osada Lasocin, były niemal całkowicie zniszczone. Zarząd gminy mieścił się w tym czasie w budynku parafialnym, który wyszedł cało z zawieruchy wojennej. Ówczesny proboszcz, ksiądz Jędrasik, ulokował się w dwóch pokojach, a urząd gminy - w pozostałych. Po załatwieniu spraw w urzędzie gminnym spotkałem księdza Jędrasika, który specjalnie wyszedł na moje spotkanie, by zaprosić mnie na chwilę do siebie. Ze względu na „czysto dyplomatycznych” nie mogłem odmówić i wstąpiłem na plebanie. Wyszło mi to zresztą na dobre.

Na plebanii zabawiłem najwyżej pół godziny. Ponieważ wieczór się zbliżał, a nie chciałem jechać z powrotem nocą ze względu na bezpieczeństwo, pożegnałem się i wyszedłem. Zostałem zaproszony na plebanie - jak się okazało - po prostu dlatego, że u księdza Jędrasika bawił ksiądz kanonik Śmiechowski z Bidzin. Chodziło o zabranie go do mojego samochodu. Oczywiście nie odmówiłem i starszek pojechał ze mną.

Gdy wjeżdżaliśmy do Ożarowa, zająchał nam drogę mężczyzna na rowerze i tuż przed samochodem upadł z rowerem na ziemię. Przerazony

szofer, myśląc że stało się nieszczęście, momentalnie zatrzymał samochód. Wtem z obydwóch stron ulicy rozległy się głosy:

- Wychodź! Ręce do góry!

Spojrzałem przez szybę samochodu i zobaczyłem ludzi ubranych na wpół po wojskowemu i uzbrojonych. Momentalnie otoczyli nasz wóz, żądając, byśmy wyszli.

Gdy wyszedłem, podbiegł do mnie jeden z napastników i uderzył mnie kolbą karabinu w pierś, krzycząc:

- Ty sukusynu, komunisto! Podnosisz tapy do góry, czy nie?!

Zachwiałem się i z trudem podniosłem rękę. Zobaczyłem, jak ksiądz Śmiechowski również trzyma rękę podniesioną.

- Mamy cię, bratku! Ty starosto komunistyczny!

Spojrzałem i zdziwiłem się ogromnie. Była to bowiem bardzo przystojna, młoda kobieta. Biegła z rozpuszczonymi, kruczymi włosami i w machując trzymanym w ręku rewolwerem, krzyczała na mnie. Od razu poznałem, że jest dowódcą bandy.

- Dziś zrobimy z wami porządek! - krzyczała podniesionym głosem. - rozbiliśmy posterunek milicji, a teraz na ciebie kolej.

- Pod mur go! - wskazała na mnie.

Momentalnie chwyciło mnie kilku pijanych, rozwydrzonych bandytów. Lufy pistoletów kierowały we mnie. Nie zwracali uwagi na księdza Śmiechowskiego, który prosił, bym nie zabijał. Sytuacja się przedłużała. Ja stałem bezbronny wśród oprawców, a ksiądz stał przy mnie, nie pozwalając mnie zabić.

Jak mi później opowiadano, lotem błyskawicy obiegła po Ożarowie wiadomość, że starosta Kaczora jakaś banda zza Wisły prowadzi pod mur i chce rozstrzelać.

Pamiętam, gdy tak stałem wpatrzony w lufy pistoletów skierowanych we mnie i przeprowadzałem ostatni rozrachunek z życiem, przed oczyma nagle stanęły mi dzieci, a zaraz potem błyskawicznie przewinęła mi się w wyobraźni cała, tak ciężka droga mego życia. „Czy po to zostałem starostą, żeby zginąć nędźnie?” - myślałem. Zdałem sobie sprawę, że czekam na śmierć i żał mi było umierać. Oderwałem na chwilę wzrok od pistoletów i spojrzałem w niebo. Słońce zachodziło. „A więc razem z zachodem słońca i moje życie też uleci” - myślałem.

Wtedy zobaczyłem dużą grupę ludzi, biegną-

cych szybko w naszą stronę. Poznałem w pierwszym szeregu kolegę „Domana” i innych znajomych bechowców. Nie zważając na historyczne krzyki kobiety dowodzącej bandą, dopadają do mnie, mimo że ona usiłuje ich zatrzymać, grożąc ogniem karabinów. Oprawcy, widząc zamieszanie, skierowali znowu lufy pistoletów w moją stronę. W tym momencie jednak już kilku bechowców dobiegło do mnie. Kolega „Doman” i inni chwycili mnie między siebie i wyrwali z rąk bandy. Za nimi przybiegło jeszcze kilku innych ożarowiaków. Otoczyli mnie, odrzucili bandytów i zastaniliłi sobą.

Jak się później dowiedziałem, dowódcą bandy była córka jakiegoś obszarnika z Lubelszczyzny. Pieniła się po prostu ze złości. Krzyczała i groziła, że będzie strzelać do zebranych tłumnie ludzi. W pewnej chwili dość duża grupa bandytów spróbowała przełamać kordon utworzony wokół mnie. Chcąc się dostać do mnie, grozili, że będą strzelać. I strzelali, ale na szczęście tylko dla postrachu, w górę. Ożarowiaci nie ustąpili. W ciągu kilku minut przybiegło bardzo dużo ludzi. Nie tylko mężczyźni, zbiegły się także i kobiety.

Przywódczyni bandy, widząc, że nie poradzi, a bojąc się rozpoczynać walkę z przeważającą liczbą ożarowiaków, dała rozkaz wycofania się. Zemdlała się tylko w ten sposób, że zabrała mi samochód.

To, że żyję, zawdzięczam kanonikowi Śmiechowskiemu, który nawet na chwilę mnie nie odstąpił. Bandyci byli w pierwszej chwili zaskoczeni i jego obecnością, i jego postawą. Nie śmieli go jako starego księdza dotknąć. Głęboką wdzięczność noszę także w sercu dla moich kolegów - bechowców z Ożarowa, a szczególnie dla Aleksandra Machowskiego, „Domana”, którzy tak odważnie przyszli mnie bronić, jak również dla ludności Ożarowa, która nie bojąc się kul, przybyła na pomoc i mężnie stanęła w mojej obronie.

PS. Byłbym niezwykle zobowiązany, gdyby ktoś jeszcze z żyjących mieszkańców Ożarowa mógł dopowiedzieć do wydarzenia coś, co umknęło podczas spisywania relacji mojego ojca. Pragnę dodać, że po latach „Słowo Ludu” dokonało sprostowania. Dowódcą napadu była córka właściciela ziemskiego z Boksyc Chorchówna. W majątku tym pracował Pan Jan Kordos, późniejszy ogrodnik majątku Gołoszyca.

Opowiadał mi, że dziedzic polecił mu w 1939 roku ukryć szablę powstańcze, czako ułańskie i inne pamiątki w trzecią lipę, w której znajdowała się spróchniała dziupla naprzeciwko dworu. To znaczy, że dziad tej panny musiał się bić w powstaniu styczniowym. A więc znowu mamy przyczynek naszych romantycznych dziejów. Wnuczka powstańca o mało co nie zastrzeliła w innej nieco formacji historycznej bojownika o wolność.

Pytałem ojca, czy prowadzono w tej sprawie śledztwo - tak dziwili się, że żyję, jakby mieli o to do mnie pretensje. Według nich ludowy starosta powinien zginąć. Mawiał, że historia, jak mówią mędrcy, każdemu wymierzy sprawiedliwość, nawet jeśli jest nim mały człowiek, chłop zagubiony w części Gór Świętokrzyskich.

- Czy wymierzyła?

Kazimierz Kaczor  
Piórków, 23.09.2001



# ZWIEDZAMY, ODPOCZYWAMY, A W PRZERWACH... UCZYMY SIĘ ANGIELSKIEGO

W poprzednim numerze „Ozarowa” niejako wywołany został temat poniższego fotoreportażu. „Zielona szkoła” w Zakopanem to niesamowite przeżycie dla każdego ucznia. Jeśli dać do tego słoneczną pogodę i ciepło wszystkich barw jesieni, to mamy atrakcję zapewnioną. Tak właśnie było w pierwszym tygodniu października, kiedy na obóz językowy wybrały się dwie klasy drugie Liceum Technicznego w Ozarowie.

Program wycieczki zaplanowaliśmy dość skrupulatnie, co nie znaczy, że chodziliśmy z zegarkiem w rękę. Niemniej atrakcyjna formuła takiego szkolnego wypadu polega na połączeniu przyjemnego z pożytecznym: piesza wędrówka, podziwianie nowego, garść informacji, ulubiony czas wolny, konwersacja językowa, zajęcia integracyjne, rozmowy z wychowawcą (niekoniecznie o szkole), trochę śpiewu i zabawy, a później... lulu. Maksimum działania, minimum znużenia.

Zajęcia dydaktyczne z języka angielskiego (10 godzin dla grupy) odbywały się w świetlicy gościnnego hotelu „Zenopol”. Prowadziła je p. Ewelina (nazwiska nie pamiętam), lektor lubelskiej firmy „Okey”. Rzetelnie opracowane testy i pokierowane rozmowy wyzwalaly w licealistach uśpione nieco możliwości, powodując autentyczne zainteresowanie przedmiotem. Mamy nadzieję, że będzie ono pogłębiane w normalnym trybie kształcenia. Każdy z uczniów otrzymał bowiem opisową ocenę swojej pracy, która powinna motywować do rozwoju kompetencji językowych.

A wszystko to „w tak pięknych okolicznościach przyrody i niepowtarzalnych”. Ale zanim

pojawił się w Zakopanem, trafiliśmy do Krakowa. Warto zwiedzić Rynek (nawet kolejny raz) i nakarmić gołębie. Przy okazji można pospacerować po naszej dawnej stolicy.

Oczywiście prezentowane tutaj fotografie jedynie w części oddają charakter obozu. Zakopane zwiedzamy dopiero na drugi dzień... Dlaczego? Po podróży młodzież była wystarczająco uręczona widokiem Tatr... z okien balkonowych „Zenopolu”.

Rankiem... zajęcia, a później w drogę! Najpierw Gubałówka - wjazd nowoczesną kolejką, potem przemarsz na Butorowy Wierch. Podziwialiśmy stąd panoramę Tatr Wysokich. Na Giewont nikt nie miał ochoty się wspinać. Po krótkim odpoczynku odwiedziliśmy sanktuarium maryjne na Krzeptówkach, by później zwiedzić Stary Cmentarz na Pęksowym Brzuku. Pan przewodnik dokładnie opowiedział o przeszłości Zakopanego, umilając czas historiami z własnego życia - m.in. o wyprawach na Kaukaz. Coś dla ducha, pora na coś dla ciała, a więc tradycyjna wizyta na Krupówkach. Trzeba przecież gdzieś wydać te przywiezione pieniądze... Oscypki, kwaśnica, szaszłyki, lody itp. A tu jeszcze należy zjeść obiadokolację!

Na następny dzień Morskie Oko i 18 km w nogach (góralskie wozy są bowiem dla leniwych). Nikt nie narzekał - zdrowe powietrze w Tatrach wszystkim się przydało. Wieczorem była dyskoteka dla zmęczonych marszem. I znowu rano, i znowu pobudka. Lekcja angielskiego, by nikt nie tracił kontaktu z rzeczywistością. Potem ponownie słoneczno o tej porze roku Krupówki. Może wreszcie kupimy jakieś tradycyjne pamiątki? Swetry, ciapy, kierpce,

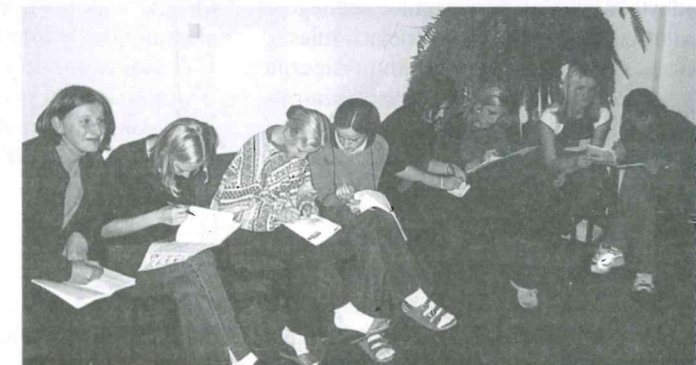
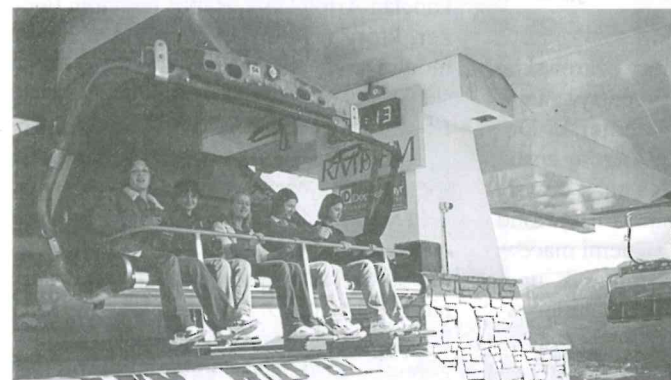
ciupagi, czapki... No, jeszcze zostało trochę grosza na wyjazd! Wieczorem organizujemy ognisko i tu niespodzianka. Jak to w górach, od słońca do deszczu - odwołujemy? Nie! Kielbaski można przyrządzić na blasze w piecu. Też są smaczne. A przy okazji nikt się nie przeziębi, bo wieczór chłodny...

Przed nami ostatnia noc. Trzeba się zabawić - „zielona szkoła” bez „zielonej nocy” jest nieważna! Rano wszyscy są trochę śpiący, wychowawcy nieco krzywo patrzą, ale to nic. Przejdzie im...

W drodze powrotnej zatrzymujemy się w Niedzicy - zwiedzamy średniowieczny zamek nad Jeziorem Czorsztynskim. Po Tatrach przysła więc kolej na Pieniny. Słuchamy wspaniałych, a zarazem humorystycznych opowieści Franciszka „Gawędziarza” - emerytowanego przewodnika, który przekazał nam receptę na długowieczność, tzw. „antigripin” (ustawa antyalkoholowa nie pozwala na przytoczenie tutaj przepisu na ten specyfik). Robimy ostatnie zdjęcia i do domu! W poniedziałek znowu szkoła...

Dla piszącego te słowa oraz pozostałych wychowawców, p. Magdaleny Gdowskiej i p. Wiesławy Pastuszki, a także przede wszystkim dla młodzieży Liceum Technicznego w Ozarowie dni spędzone na obozie językowym długo pozostaną w pamięci. Słychać już głosy o zorganizowaniu podobnej „zielonej szkoły” w następnej klasie. Pomyśl do rozważenia. Warto bowiem skorzystać z tej formy aktywnego spędzania czasu, nie tracąc nawet na chwilę kontaktu z szeroko rozumianą pracą pedagogiczną. Czy trzeba więcej zachęcać?

Janusz Czuba





# OZARÓW ŻYDOWSKI

## LEKCJA TOLERANCJI

15 października 2001 r. był w Ożarowie dniem niezwykłym. Nie tylko dlatego, że odbyła się wtedy uroczystość zakończenia odnawiania cmentarza żydowskiego, ale dlatego, że uświadomiliśmy sobie, że nazwa Ożarów wywołuje emocje nie tylko u jego stałych mieszkańców, ziomków rozsiansych po Polsce, ale wywołuje dobre skojarzenia u Żydów stąd pochodzących, a mieszkających na różnych kontynentach.

Mało tego, Ożarów jest bliski również dla ich potomków, którzy urodzili się już w USA, Kanadzie, Francji, Anglii, Izraelu. Oni czują się również w części ożarowianami i mają do tego prawo. Wszak społeczność żydowska w Ożarowie w zasadzie żyła w tym mieście od jego początków - co starałem się udowodnić w poprzednim numerze. Prawdziwa przeszłość Ożarowa to wyznawcy trzech religii obok siebie żyjący przez kilka stuleci. Najwcześniej odeszła stąd religia protestancka, później, za sprawą hitlerowskich Niemiec, żydowska. Październikowa uroczystość odbyła się w kolejną rocznicę jednego z najtragiczniejszych dni w dziejach miasta, kiedy to jesienią 1942 r. kilkudziesięcna grupa Żydów została popędzona z ożarowskiego getta przez hitlerowców na stację kolejową w Jasicach i tam załadowana do bydzących wagonów i wywieziona do obozu koncentracyjnego w Treblince. Ocaleli tylko nieliczni. Niektórym hitlerowcy skrócili życie na kirkucie. Z Ożarowa odeszli Żydzi, a wraz z nimi czterechsetletni dorobek materialny i duchowy. Po wojnie opuszczona świątynia żydowska zmieniła funkcję i dziś jest zwykłym budynkiem. Jednak został z prochami kilku pokoleń Żydów cmentarz z topniejącą z roku na rok liczbą macew - kamiennych nagrobków. Czego nie zdążyli usunąć praktyczni okupanci i wtórnie użytkownicy, zaczęli „zagospodarowywać” niektórzy miejscowi. Minęło kilkadziesiąt lat i zniknął prawie cały mur. Trzeba jednak przyznać obiektywnie, że mimo wszystko Ożarów nie ma czego się wstydzić - stan zachowania żydowskiego cmentarza przed remontem był - w porównaniu z innymi w naszym regionie - dobry. Jednak dla odwiedzających Ożarów Żydów niezbyt zadowalający. Skupieni w kilku organizacjach ziomkowskich w USA, Kanadzie, Francji i Izraelu, zaczęli zbierać pieniądze na jego odnowienie. Powstał Projekt Odbudowy Cmentarza Ożarowskiego, któremu przewodniczył Rabin Tanchum B. Becker, obecny rabin Ożarowa, kierujący Seminarium Rabinicznym „Esh - Dat” w Tel Aviwie. W Polsce koordynatorem prac renowacyjnych jest Stefan Omasta. Po kilku

miesiącach intensywnej pracy ożarowskiej firmy Jana Wisowskiego, zaopatrywanej w kamień przez zakład kamieniarski Dąbrowskich z Janikowa, odtworzony został mur cmentarny, uporządkowano i oczyszczono terytorium, wykopano i ustawiono kilkanaście zagrzebanych w ziemi macew, wzniesiony został też mały pomnik, upamiętniający rozstrzelanych przez hitlerowców stukilkudziesięciu Żydów w czasie likwidacji getta.

Zakończenie pierwszego etapu rewaloryzacji tej nekropolii odbyło się 15 października. Data ta ma charakter symboliczny. To właśnie w połowie października 1942 r. nastąpił kres żydowskiego Ożarowa.

Wracam teraz do początku tej relacji. Jesień podarowała uczestnikom uroczystości wspaniały dzień. Słoneczny i łagodnie ciepły. Na uporządkowany w przeddzień przez ożarowskich uczniów z ZSO plac przed kirkutem od godziny 11.00 zaczął gęstnieć tłum ożarowian. Starsi uznali to wydarzenie za święto i przyszli niedzielnie ubrani. Pytani, dlaczego przyszli, różnie odpowiadali: zmarłym Żydom też należy się szacunek, żeby zobaczyć pejsatych rabinów, żeby przypomnieć sobie dawne czasy, żeby pomodlić się za zmarłych, może wśród przyjezdnych zobaczyć się z koleżanką lub kolegą z dzieciennych lat, przecież chodziło się z nimi do szkoły, z ciekawości, kto to ze świata do Ożarowa przyjedzie... Nad wyraz dużo ludzi przybyło na tę uroczystość. Z gości najpierw zameldowali się przedstawiciele ambasad. John Lowell Armstrong, drugi sekretarz ds. politycznych i attache ds. pracy, reprezentował ambasadę Stanów Zjednoczonych Ameryki. W zakresie swych obowiązków ma również sprawy wynikające ze stosunków polsko-żydowskich. Pani Judi Mac Lenon - żona ambasadora, reprezentowała ambasadę Kanady. Nie przyjechał - ale przysłał list - przedstawiciel ambasady Izraela. Przybyła też Eleonora Bergman z Żydowskiego Instytutu Historycznego. Była delegacja samorządowych władz powiatowych (przewodnicząca Alicja Różańska-Cembrowska i starosta Kazimierz Kotowski) i oczywiście samorządu gminnego oraz zakładów pracy i szkół. Uroczy-

stość prowadzili burmistrz Marcin Majcher i polski koordynator odnawiania cmentarza Stefan Omasta, a tłumaczył Marek Lipsztajn z Kanady. O idei ratowania ginącej nekropolii, o łączności z ziemią przodków rozsiansych po świecie Żydów mówili goście, dyplomaci amerykańscy, Norman Weinberg, Dawid Zolis - kapelan Armii USA, Rabin Tanchum Becker, który w powitalnych słowach przed modlitwą użył charakterystycznego określenia: „synowie Ożarowa”. Rabin mówił też o tradycjach rabinicznych swojej rodziny w Ożarowie oraz przekazał błogosławieństwo i życzenia przybyłym.

Przed pomnikiem pomordowanych i za zmarłych śmiercią naturalną modlili się wspólnie Beckerowie, potomkowie rabinicznej dynastii z Ożarowa, i miejscowy proboszcz, ksiądz Stanisław Szczerek. Szczególnie wstrząsająco zabrzmiał ekspresyjny śpiew rabina Beckera podczas Kadiszu - modlitwy za umarłych. Następnie złożyli wiązanki kwiatów pod pomnikiem. Po oficjalnych uroczystościach goście i mieszkańcy Ożarowa rozeszli się między macewy, żeby zobaczyć efekty prac rewaloryzacyjnych. W niewielkich grupach żydowscy przybysze wspominali swoje rodziny, związki z Ożarowem, rozmawiali też z miejscowymi i wspominali okres dzieciństwa.

Później przyjezdni uczestnicy uroczystości wzięli udział w otwarciu specjalnie przygotowanej na tę uroczystość wystawy dokumentacyjno-artystycznej, zaaranżowanej w Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury przez Norę Czubę. Prezentowane są na niej obrazy (pokłosie plenerów plastycznych M-GOK) inspirowane tradycją Ożarowa żydowskiego oraz zdjęcia archiwalne i wydawnictwa ze zbiorów Prywatnej Agencji Informacji Regionalnej Myjakpress. W czasie wernisazu burmistrz Marcin Majcher wręczył dr. Normanowi L. Weinbergowi, reprezentantowi Kongresu Żydów Amerykańskich, ukazujący motywy żydowskie z Ożarowa obraz Andrzeja Kozery. Natomiast Moishe Gold z Kanady przekazał burmistrzowi Ożarowa list od burmistrza Hamilton Roberta E. Wade, w którym pozytywnie ocenia realizację Projektu rewaloryzacji cmentarza. Na zakończenie wizyty przybysze zwiedzili dawny Ożarów. Po starych uliczkach prowadził ich redaktor Marcin Kwieciński. Niektórzy z trudem mogli znaleźć swoje rodzinne domy. Kłopoty z odszukaniem ulicy Pocztovej miał Henri Cukierman, działacz Stowarzyszenia Żydów Ożarowskich w Paryżu.

tekst Józef Myjak, foto Marian Sus

# OZARÓW ŻYDOWSKI



Rabbi Tanchum Becker



gen. Dawid Zolis - kapelan Armii USA



Judi Mac Lenon - żona ambasadora Kanady



Wspólna modlitwa przed pomnikiem rozstrzelanych Żydów ożarowskich



gen. Dawid Zolis - kapelan Armii USA



Norman Weinberg i jego żona



dr Marek Lipsztajn z Kanady



Norman Weinberg i jego żona



Norman Weinberg i jego żona



Sekretarz ambasady USA John Lowell Armstrong oraz Andrzej Omasta



Moishe Gold przekazuje burmistrzowi Majcherowi list od burmistrza Hamilton





# OZARÓW ŻYDOWSKI



Do uczestników  
Rededukacji Cmentarza Żydowskiego  
w Ożarowie

Szanowni Państwo!

W imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Pana Aleksandra Kwaśniewskiego, chciałbym przekazać gratulacje z okazji podjęcia i zrealizowania inicjatywy odrestaurowania cmentarza żydowskiego w Ożarowie.

Przez stulecia Polska była współtworzona przez naród żydowski, którego religia, kultura i tradycja stanowiły immanentną część. Pomimo trwale zachowywanej autonomii, pomimo wielu odrębności - nie tylko Polska związała się z narodem żydowskim, ale także Żydzi, mieszkańcy tych ziem, trwale się do Polski przywiązali. Jak pisze Halina Birenbaum, żydowska pisarka od lat mieszkająca w Izraelu - „Wszystko wielkie moje było w Polsce i nie pomogą mijające lata, odległość (...) Nie zakrzyczą fale wrogości, pogardy, nienawiści, tamto pozostanie bliskie i swoje (...) W takt polskich słów bije moje żydowskie serce. „Uczucia te często do dzisiaj nie podlegają zmianie, czego dowodem są działające za granicą rozliczne ziomkostwa byłych mieszkańców polskich miast. Dzięki ich zaangażowaniu, jak też bezcennemu poparciu współczesnych mieszkańców miast, takich jak Ożarów, przywraca się godny obraz żydowskich miejsc pamięci w Polsce. Dzięki pracy i wsparciu szeregu osób, którym szczególnie dzisiaj wyrażamy swoją wdzięczność, odrestaurowany żydowski cmentarz w Ożarowie stanie się kolejnym materialnym świadectwem nierozzerwalnych, historycznych więzów Polaków i Żydów, przez stulecia współżyjących i korzystających razem z bogactw tej ziemi.

Największym wyzwaniem dla Polski w nadchodzących latach będzie integracja ze strukturami Unii Europejskiej. Ważnym elementem wizji Wspólnej Europy musi stać się pamięć o wielonarodowej historii naszego kontynentu, w której ponad 800 lat rozwoju życia społecznego, religii i kultury Żydów w Polsce stanowi jedną z najjaśniejszych kart. Musimy walczyć z amnezją historyczną, która zdaje się dotykać młode pokolenia Europejczyków. Tylko świadomość historyczna oraz wrażliwość społeczna i ludzka solidarność mogą stać się fundamentem wspólnej i zjednoczonej Europy.

Z poważaniem Marek Siwiec  
Biuro Bezpieczeństwa Narodowego

Do uczestników uroczystości  
w Ożarowie  
15 października 2001 r.

Najserdeczniej pozdrawiam wszystkich zebranych na uroczystości poświęcenia świeżo odrestaurowanego Cmentarza Żydowskiego w Ożarowie. Jestem z Wami całym sercem, choć obowiązki ambasadora Państwa Izrael zatrzymały mnie dziś w Warszawie.

Ogromnie cieszę się, że kolejne ważne miejsce - ślad obecności Żydów na polskiej ziemi, ożarowski cmentarz - doczekał się chwili, gdy przywrócono mu należną godność i świetność. Z górą cztery wieki trwało żydowskie życie w tym miasteczku, miało swoje jasne i ciemne momenty, ale trwało i rozwijało się, liczne pokolenia pracowały, modliły się, przeżywały koleje życia na tej ziemi. Holokaust przerwał to na zawsze. Deportacja w roku 1942 tragicznie zamknęła ten rozdział w historii Ożarowa. Naszym zadaniem jest ocalić go od zapomnienia.

To właśnie Wy, zgromadzeni dziś na tym miejscu ludzie dobrej woli, potomkowie dawnych ożarowian i nie tylko, podjęliście się wypełnienia tego zadania. Pragnę z całego serca podziękować wszystkim zaangażowanym w przeprowadzenie tego ważnego projektu, jego koordynatorom: Rabinowi Tanchum Becker z Seminatum Esh Dat w Izraelu, panu Markowi Milgromowi i Dr. Normanowi Weinbergowi z USA, Dr. Markowi Lipsztajnowi z Kanady oraz panu Andrzejowi Omaście z Polski, a także wszystkim bez wyjątku osobom i instytucjom wspierającym projekt duchowo i finansowo, których nie jestem w stanie wymienić z nazwiska.

Dzięki Waszej pracy znowu przemawiają przepiękne kamienne macewy starego cmentarza, ich głos mogą usłyszeć nie tylko potomkowie spoczywających tu ożarowskich Żydów, którzy ze wzruszeniem odkrywają ślady przodków, ale wszyscy, którzy pragną pamiętać i widzieć przeszłość taką, jaką była naprawdę. To wielka zasługa. Gratuluję otwartych serc i umysłów wszystkim zaangażowanym w projekt i jeszcze raz ogromnie Wam dziękuję.

Z najlepszymi życzeniami  
Prof. Shewach Weiss  
Ambasador Izraela w RP

# ZAWADA - BAŁTÓWKA - PODLESIE

Z zasobów ożarowskiego folkloru

## Diabelski wiatr

Bałtówka leży na przeciągach - mawiali starsi mieszkańcy tej wsi. Czasami jak zawiało od Sobowa piachem, to trzeba było mocno mrużyć oczy - dodawali. Dochodziło też czasami do tego, że ładnie w sęgi poukładane przez drwali drewno w pobliskim lesie ktoś bez powodu rozrzucał. Siano też w kopcach targało po polu. Podróżnym, co to się od strony Janikowa udawali na przewóz do Maruszowa, ktoś zrzucił kapelusze i cesał włosy.

A wszystko to były sprawy miejscowego diabła Paki, który igrał na tym terenie. Wreszcie miarka się przebrała i ludzie poprosili gajowego, który jedyny w okolicy miał broń, żeby ten ustrzeżił dokucznika z rogami. Leśnik po długich namysłach z janikowskim plebanem, który nawet pokropił święconą wodą luźną myśliwskiej fuzji, zuchwał się w zagajniku przy głównym trakcie, gdzie najczęściej pojaniał się psotnik. Czekał niecierpliwie do zmierzchu i wreszcie zobaczył Pakę, jak skradł się do kopki siana, którą chciał rozrzucać. Zachichotał, nabrawszy potężną porcję powietrza, nadął diabelską gębę i już miał huknąć, kiedy padł strzał. Kula precyzyjnie trafiła w czorta. W mig zapłonął jak pochodnia. Zajął się też od tego ognia kopka siana. Okoliczni chłopci widzieli wtedy nawet z daleka wysoko unoszący się słup wyjątkowo czerwonego, smolistego dymu i nieprzyjemną woń siarki. Żegnali się ze strachem, ale też i z nadzieją. Wszak wszyscy wiedzieli, że dzielny gajowy udał się na pojedynek z diabłem i że wygrał walkę. Starsi sceptycy dodawali, że z Paką tak łatwo nie pójdzie. Diabelskie nasienie jest wyjątkowo silne. Ludzie chodzili potem oglądać miejsce, na którym spłonął diabeł. W miejscu tym powstało na ziemi mocno przepalone koło wielkości młyńskiego kamienia. Długo nie chciała się w tym miejscu rola zbliżnić. Jakoś nic tu nie chciało wyrosnąć - nawet trawa. A wieczorami jakoś strach łapał podróżnych, którym przyszło jechać tym szlakiem. Postawiono więc tu kamienną figurę z Chrystusem Zafrasowanym, którą wyciosali janikowscy kamieniarze. Stoi ta polna latarnia do dzisiaj, opodal ruchliwej szosy Ożarów-Annopol. Podobno czasami straszy w tym miejscu nadal.

Józef Wyjak

## SOŁTYSA GŁOSEM O ZAWADZIE, BAŁTÓWCE I PODLESIU

Tadeusz Matyja - lat 46, w tym 10 lat sołtysowania - technik rolnik, gospodarz 1,5-hektarowego gospodarstwa, kierownik ożarowskich wodociągów Zakładu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Działacz PSL. Żona, dwoje dzieci. Żona Wiesława prowadzi dom.



Dzieci Joanna i Sylwester - studenci Akademii Pedagogicznej i Politechniki Świętokrzyskiej.

Połączenie trzech wiosek - Zawady, Bałtówki, Podlesia - w jedną miejscowość stworzyło wiele kłopotów i zamieszania. Oficjalnie nazywamy się teraz Zawadą, która jest jednym samodzielnym sołectwem. Jednak dawne przyzwyczajenia pozostały i wciąż używa się trzech nazw zamiennie. Mieszkańcy sołectwa należą do czterech parafii: Janików, Ożarów, Przybysławicy i Bidziny. Dlatego też władze gminy i mieszkańcy postanowili ujednoczyć nazewnictwo. Przeprowadziłem małe referendum i większość mieszkańców - jako że mieszka w Bałtówce - wypowiedziało się za taką nazwą. Nieliczni opowiedzieli się za pozostawieniem nazwy Zawada. Procedura i względy sentymentalne powodują jednak, że trudno podjąć decyzję. Na razie jesteśmy więc Zawadą.

Mimo połączenia, Zawada jest małym sołectwem, składającym się z 73 gospodarstw. Obszarowo jednak zajmuje dużą powierzchnię i gospodarstwa są rozrzucone, co powoduje uciążliwości dla mieszkańców. Trudno jest więc zapewnić wszystkim dobrą drogę. W wiosce Zawada zachowała się jeszcze prawdziwa polska droga. Przy niej zostało zaledwie kilka gospodarstw, w których pozostali raczej starsi mieszkańcy. Natomiast bujnie rozwija się osadnictwo, głównie wzdłuż drogi Ożarów - Zawichost, gdzie jest pełna infrastruktura. Atrakcyjność działek przy szosie powoduje, że chętnie tu się osiedlają młode rodziny, które tu mają korzenie, tu wracają. Z uwagi na dogodność komunikacyjną i duże działki powstało w ostatnich latach kilka małych firm. Jednak obecność tak bardzo ruchliwej szosy Kielce - Lublin ma złe strony. Odcinek od Ożarowa do „zakrętu śmierci” jest usiany krzyżami. W ostatnich latach zginęło tu dziesięć osób. W związku z tym apelujemy o właściwe, wzmocnione oznakowanie, o uznanie zakrętu za „czarny punkt”.

W najbliższych latach ma przebiegać przez nasze sołectwo obwodnica, która znacznie się przed moim domem, przetnie starą Zawadę, Tominy i wyjdzie obok zajazdu „Biała Róża” na Spoczynku w Wyszmontowie. Już trwają prace przygotowawcze.

Muszę obiektywnie stwierdzić, że „stara” Zawada cywilizacyjnie jest pokrzywdzona, ale to dlatego, że ma rozrzucone gospodarstwa i trudno założyć gazociąg, linię telefoniczną i inne urządzenia.

J. M.



# ZAWADA - BAŁTÓWKA - PODLESIE

Stąd nasz ród

## SIOSTRA LEONTYNA - MARIA WÓJCIK



Urodziłam się 12 lutego 1938 r. w Zawadzie, gmina Ożarów, jako córka Stanisława i Anny z Błaszczkiewiczów. Z okresu dzieciństwa wiele smutnych zdarzeń utrwaliło się w

mojej pamięci. Obawa przed Niemcami, bo rodzice kogoś ukrywali, prawdopodobnie Żyda z Ożarowa. Później nie mogłam porozmawiać z nimi na ten temat, bo wcześniej zmarli. Pod koniec II wojny światowej ojciec miał być rozstrzelany przez Ukraińców. Po 1945 r., pamiętam ten dzień bardzo wyraźnie, gdy milicjant nawiedził nasz dom z wiadomością, że matka będzie uwięziona. Jakś donos złożył na nią jeden z mieszkańców wsi, członek partii. Matki nie uwięziono, ale żyliśmy w napięciu.

Do szkoły podstawowej uczęszczałam w Janikowie i Ożarowie w latach 1945-1952, następnie kształciłam się w Liceum Ogólnokształcącym w Ostrowcu Św., uzyskując w 1956 r. świadectwo dojrzałości. W tymże roku wstąpiłam do Zgromadzenia Sióstr Służek

NMP Niep. w Mariówce Opoczyńskiej. W 1959 r. zostałam skierowana na studia historyczne w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W 1964 r. uzyskałam stopień magistra historii, na podstawie pracy „Losy byłych uczestników powstania styczniowego w guberni lubelskiej w latach 1866-1868”, pisanej pod kierunkiem znanego historyka Kościoła, ks. prof. Mieczysława Żywczyńskiego. W ówczesnej rzeczywistości komunistycznej absolwentom KUL-u, zwłaszcza po studiach humanistycznych, niesłychanie trudno było otrzymać pracę. Ja tego problemu nie doświadczyłam. Po ukończeniu studiów zostałam zatrudniona w KUL-u jako pracownik naukowy. Byłam asystentką przy katedrze Historii Nowożytnej Wydziału Nauk Humanistycznych. Od 1971 r. w Redakcji Encyklopedii Katolickiej KUL objęłam dział geografii i statystyki kościelnej oraz Polonii w świecie.

Pracę na KUL-u ceniłam sobie bardzo. Słuchałam wykładów wielu słynnych profesorów, przekazujących nam rzetelną wiedzę historyczną. Ponieważ władze PRL pozbawiły Wydział Humanistyczny KUL prawa nadawania dokumentów, dyplom doktora historii uzyskałam na Uniwersytecie Warszawskim w 1978 r., na podstawie rozprawy naukowej „Powstanie, rozwój i działalność Zgromadzenia Sióstr Służek NMP Niepo-

kalanej w latach 1878-1918”, pisanej pod kierunkiem prof. Stefana Kieniewicza. W 1978 r. rozprawa ta ukazała się drukiem. Jako pracownik naukowy miałam okazję korzystania ze stypendiów naukowych i językowych w Belgii, Niemczech i Włoszech, przed każdym wyjazdem na Zachód doświadczyłam trudności z otrzymaniem paszportu, podobnie jak wiele osób w tym czasie.

Oprócz opublikowania powyżej wymienionej rozprawy doktorskiej jestem autorką około 300 haseł w Encyklopedii Katolickiej KUL, T. I-VII, oraz wielu publikacji z zakresu historii Zgromadzenia Sióstr Służek NMP, m.in. Zgromadzenie Sióstr Służek NMP Niepokalanej pod zarządem przełożonej generalnej Franciszki Zmysłowskiej, „Nasza Przyszłość” 74 (1990), s. 147-17., Prowincja sandomierska Zgromadzenia Sióstr Służek NMP Niepokalanej w latach 1839-1993, Sandomierz 1993; Prywatne Seminarium Nauczycielskie Żerńskie w Mariówce Opoczyńskiej w latach 1921-1936, „Studia Sandomierskie” 6 (1990-96), s. 533-556; Prywatne Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące im. bł. Królowej Jadwigi w Mariówce Opoczyńskiej (1933-1954; 1992-...), Sandomierz 1995; Działalność wydawnicza drukarni w Mariówce Opoczyńskiej Zgromadzenia Sióstr Służek NMP Niepokalanej w latach 1921-1939, w: W kręgu dziejów Kościoła i rodziny franciszkańskiej, Warszawa 1999, s. 333-352.

Obecnie po przejściu na emeryturę przygotowuję tom drugi monografii na temat działalności Zgromadzenia Sióstr Służek NMP Niep. w latach 1919-1978.

Leontyna (Maria) Wójcik

## FERALNA STUDNIA

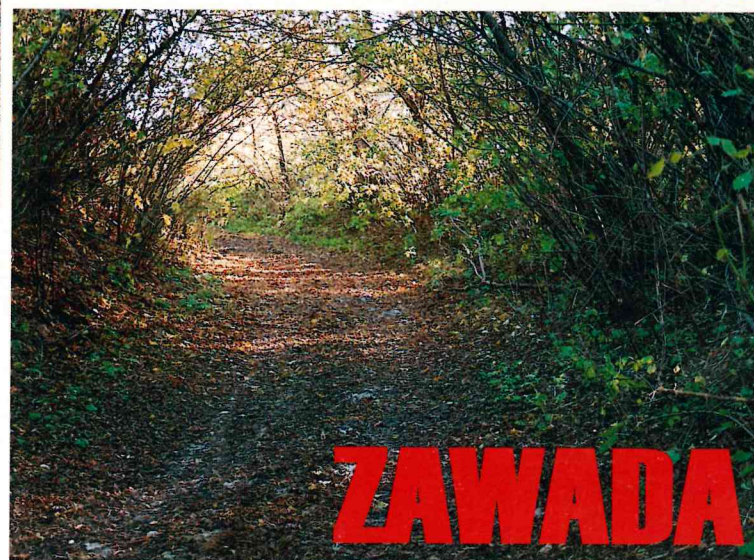
Specami od kopania studni w naszym rejonie (a może szerszej - gminie) byli Siejkowie: ojciec i dwaj synowie (z Janowa, gmina Lasocin). Ich doświadczenie dotyczyło jednak naszego najbliższego terenu, odnośnie którego mieli swoją sprawdzoną metodę, dostosowaną do odpowiedniego uwarstwienia ziemi. W naszej wiosce wykopali dwie studnie (w latach, o których mowa). U wujostwa Sobaszków (Jan) wykopali studnię w podwórzu w 1937 r., a później wykopali drugą - w posesji Jana Cheby. Gdy wujostwo Sobaszkwowie przenieśli się na Zawadę pod Ożarowem, sprawdzili tam Siejków dla wykopania studni. Siejkowie stosowali metodę wypróbowaną

w naszym terenie (bez używania przy kopaniu betonowych kręgów). Gdy dokopali się do głębokości, na której zdecydowanie zaczęła już napływać woda, ojciec kazał się synom wpuścić jeszcze do studni dla ostatecznego oczyszczenia dna. Nastąpiło wtedy oberwanie się warstwy ziemi i ojciec został przysypany. Synowie rzucili się do odkopywania, ale zanim wydostali ojca, ten już nie żył. Jakies inne grupy przypatrywały się tej studni później i nie mogły się zdecydować na doprowadzenie jej do wykończenia i funkcjonowania. W końcu ktoś zdecydował się na tę robotę i wypuszczając gotowe, betonowe (całościowe) kręgi, podkopując odpowiednio warstwy ziemi, doprowadził

studnię do odpowiedniego stanu i używalności. Jest ona tam po dzień dzisiejszy, w stanie nieużywalności, bo doprowadzono kanalizację, a poza tym - zastosowanie melioracji spowodowało wyschnięcie tej studni.

Późniejsi operatorzy przy owej studni stwierdzali, że w tym terenie (warstwy muliste) niedopuszczalnym było stosowanie metody Siejków - niezanurzanie gotowych kręgów betonowych równocześnie z każdym metrem pogłębiania studni. Podobne uwarstwienie ziemi, jak na Zawadzie, było w rejonie Osówka (gmina Siemno). U wujka Malickiego - też były stosowane przy kopaniu studni gotowe, betonowe kręgi.

Fragment książki wspomnieniowej O. Stanisława Czyża „Między Wisłą a Kamienną - wspomnienia 1939-1945”.

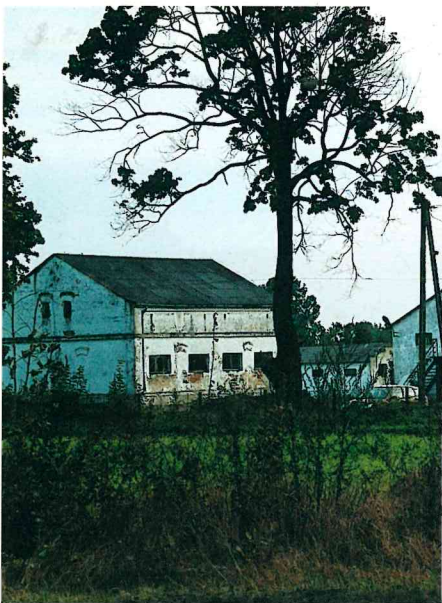






mojej par  
rodzice k  
Żyda z O.  
mawiać:  
zmarli. P  
miał być  
1945 r., p  
nie, gdy n  
domości  
donos zle  
członek p  
śmy w na  
Do szl  
Janikow  
następni  
nokszał  
w 1956 r  
roku wst

Specja  
rejonie (k  
kowie: o  
gmina l  
czyło je  
odnośn  
metodę  
uwarstw  
pali dw  
mowa).  
kopali i  
później  
Cheby.  
nieśli si  
wadzili  
Siejkow



## ZAWADA - BAŁTÓWKA - PODLESIE

Współczesna Zawada tworzy trójkąt topograficzny złożony z dawnych, samodzielnych miejscowości - Zawady, Podlesia i Bałtówki. Najstarszą jest Zawada, przez którą prowadzi wczesnośredniowieczny szlak, wychodzący z rozwidlenia dróg w Trójcy pod Zawichostem i wiodący przez Czyżów, Janików, Zawadę Drygulec. Pod koniec XIX wieku wykaz miejscowości guberni radomskiej odnotowuje należącą do parafii w Bidzinach Zawadę Wyszmontowską, która miała 43 domów drewnianych i 5 kamiennych, zamieszkałych przez 90 osób. Istniała też druga Zawada z dodatkiem „Włonica”, był to właściwie folwark złożony z dwóch (czworaków) domów zamieszkałych przez 20 osób. Majątek ten dzierżawili Targowscy z Winiar. Następnie 180-morgową posiadłość kupił zamożny ożarowski Żyd, Pejsak Bursztyn. Natomiast sąsiadująca z Zawadą Bałtówka to również niewielki folwark, który nabył inny ożarowski Żyd, Lajzer Zycholtz. Wybudował on tu przydrożną karcznię już przy nowej drodze. Żydzi założyli w tej okolicy cegielnię i wapiennik. Trzecia miejscowość to właściwie folwark w Podlesiu, który pod koniec ubiegłego wieku miał 360 morgów. Od Baczyńskich Podlesie kupili Kotkowscy i gospodarowali tu do II wojny światowej, kiedy to folwarkiem zarządzali okupanci. Po wojnie majątek rozparcelowano, a później powstała tu rolnicza spółdzielnia produkcyjna, która ogłosiła upadłość po 1989 r. Z dawnych zabudowań dworskich pozostały, dziś już zabytkowe, budynki gospodarcze o charakterystycznej architekturze z II połowy XIX w.



Miejsko - Gminny Ośrodek  
Kultury Ożarów  
10 11 2001 - 10 12 2001

Alicja Aleksandrowicz graduated from Highschool of Fine Arts in Kielce, the weaver's class (1973) and Commercial Advertisement School in Katowice (1985).  
In 1989 the Polish Ministry of Culture and Art appointed her artist of fine arts.  
A member of Association of Artists-Polish Applied Art since 1999.  
Five individual exhibitions and the participation in over thirty collective exhibitions, including eight all-Polish ones and one in Emmendingen (Germany).  
She received many awards, among others: prize of Polish Exhibition of Fine Arts for Former Pupils of Fine Arts Highschools, Rzeszów (1984) and the third prize "Brzozowy Tur" in Polish Competition of Unprofessional Weaver's Craft, Turuk (1987).  
The Artistic Scholarship of the Tarnobrzeg, Province Governor (1987).  
More important works: "Travers" (1993) Emmendingen, Germany; "The Sandomierz View" (1999) Vatican City, Italy.  
Also works in private collections in Poland and abroad: Austria, Australia, France, Germany, Sweden, USA, Hungary, (ASM)

Address: Alicja Aleksandrowicz  
ul. Mickiewicza 11/33  
27-600 Sandomierz  
POLAND  
T. 832 34 62

The Weaving Studio  
Krakowska Street 10  
Sandomierz

Alicja Aleksandrowicz  
ul. Mickiewicza 11/33  
27-600 Sandomierz  
Tel. (015) 832 34 62

Pracownia gobelinów  
Sandomierz  
ul. Krakowska 10  
tel. kom. 0607 175 948

Absolwentka Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Kielcach, klasa Kłackwo artystycznego, dyplom 1973 r. Studium Reklamy Handlowej w Katowicach, dyplom w 1985 r. Uprawienia artysty plastyka przyznane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki w Warszawie w 1989 r. Członek Związku Artystów, Polska Sztuka Użytkowa od 1999 r.



ALICJA  
ALEKSANDROWICZ

GOBELINY



Moją życiową pasją jest tkactwo artystyczne. Nauka, którą wyniosłam z Liceum Plastycznego dała mi podstawy do uprawiania tak z mądrego i wymagającego cierpliwości rzemiosła.

Moim ulubionym tworzywem jest wełna. Ten naturalny surowiec bliski był człowiekowi od zarania dziejów. Dzisiaj, w czasach gdzie tworzywa sztuczne są wszechobecne, dążymy do obcowania z wyrobami naturalnymi. To one stanowią ciepły klimat w każdym wnętrzu.

Technika tkania, mimo że wymaga dużo cierpliwości i pewnej dyscypliny, pozwala na osiągnięcie takiej faktury i kolorystyki, która odpowiada moim zamierzeniom twórczym.

Projekty przyszłych gobelinów, określone kompozycyjnie, ale nie do końca kolorystycznie i szczegółowo, pozwalają na swobodne dobieranie kolorów podczas pracy. pozwalają od początku do końca uniknąć monotonii i procesowi powstawania tkaniny, dając radość tworzenia.



Huby (83x98 cm)

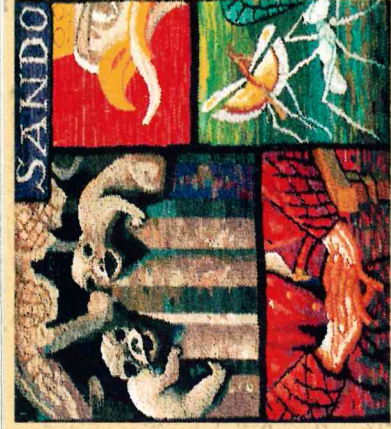
Tematyka i kolorystyka jest różnorodna, ponieważ często tkam na zamówienia do konkretnych wnętrz. Sandomierz to moje miasto rodzinne, więc chętnie uwieczniam jego architekturę i pejzaż. Odpowiada mi również swobodna interpretacja świata przyrody z całym jego bogactwem form i koloru, także pejzaże z wyobrażeń czy też kompozycje abstrakcyjne.

Pragnę przekazać odbiorcom moich prac radość obcowania z miękką, przytulną materią, jaką jest wełna, i chęć wierzyć, że przyniosą one również przeżycia estetyczne

Alicja Aleksandrowicz



Zamek z nietoperzem (77x71 cm)



Kompozycja „Sando” (98x113 cm)



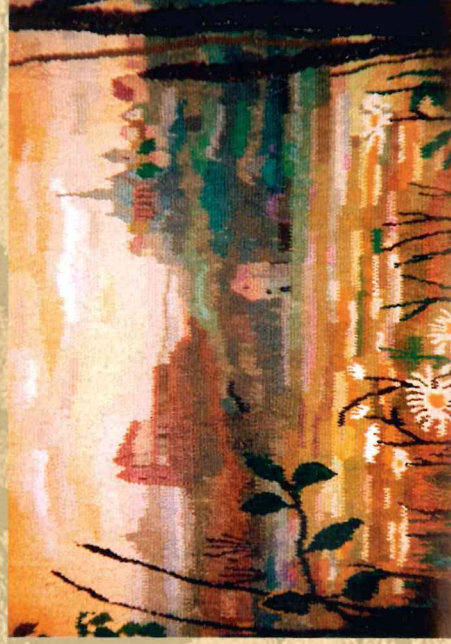
Ogród I (96x99 cm)



Zima (101x89 cm)



Panorama Sandomierza (184x119 cm)



Sandomierz VIII (114x95 cm)



Łąka (100x88 cm)



Ratusz (79x69 cm)



Zamek (100x90 cm)



W 1914 r. Bursztynowie - jak utrzymuje 86-letni Władysław Chruściak - rozparcelowali majątek i rozsprzedali ziemię okolicznym chłopom. W ten sposób powstała Zawada Kolonia, która po drugiej wojnie światowej zaczęła się sadowić wzdłuż szosy Ożarów - Zawichost. W międzywojennej Zawadzie aktywnie działało koło Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, założone przez Józefa Bińczaka, znanego później działacza i pisarza. Z Zawady pochodziła też znana w okolicy kapela dęta.

Po wojnie sporo młodych wyjechało w świat, a z biegiem lat dawna Zawada zaczęła się wyludniać. Jednak w ostatnich dziesięcioleciach przydrożny pas działek przy szosie Ożarów - zakręt w Bałtówce i dalej w kierunku Annapola oraz w stronę Zawichostu - stał się bardzo atrakcyjny dla nowego osadnictwa. Powstały tu nie tylko okazałe podmiejskie domy, ale również małe zakłady handlowe i usługowe. Zmienia się także charakter rolnictwa. Dawniej dominowała uprawa zbóż i okopowych oraz hodowla zwierząt. Obecnie coraz większy areał zajmują sady. Wzrasta też liczba mieszkańców. W 1995 r. Zawada miała 210 mieszkańców, w 1998 r. - 220.

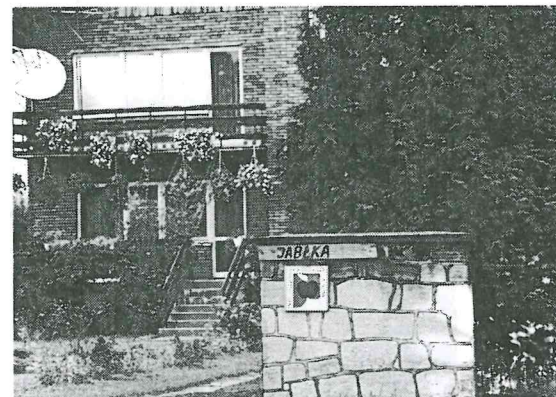






# ZAWADA - BAŁTÓWKA - PODLESIE

## SADY MOGĄ BYĆ I NA GORSZEJ ZIEMI - twierdzi Henryk Sobaszek z Bałtówki



Moja droga do Bałtówki wiodła poprzez nieco zawile koneksje rodzinne. Otóż od Żyda karczmarza spaloną karczmę i około 50 morgów ziemi kupił wuj Józef Luciak, wzięty gospodarz i działacz ludowy. Powstało tu przed wojną duże gospodarstwo rolne. W 1962r. od ciotki, wdowy po wspomnianym wuju, prawie 6-hektarowe gospodarstwo odkupił mój ojciec, Józef Sobaszek. Pracował do 1970r., kiedy to zmarł. Wtedy kończyłem ogrodnictwo na Aka-

demii Rolniczej w Lublinie. Po studiach chciałem sprzedać gospodarstwo i zająć się tylko etatową pracą, ale matka się rozplakała, słysząc moją decyzję. Postanowiłem więc zostać w domu. Podjąłem jednak pracę w opatowskiej Spółdzielni Ogrodniczej. Zostałem więc chłopem - urzędnikiem.

W 1971r. na części gospodarstwa (1ha) postanowiłem założyć sad jabłoniowy. W Bałtówce do tego roku nie było tradycji ogrodniczych. Ziemię mamy tu bowiem słabą, od III do IV klasy. Jednak udało mi się i po 3 latach nowy kierunek przynosił zaczął dochód. Skłoniło mnie to do powiększenia arealu. Namówiłem też dwóch sąsiadów, Stanisława Liwińskiego i Adama Matygę, oraz mojego młod-

szego brata Stanisława do założenia wspólnego 10-hektarowego sadu zblokowanego - taka wtedy panowała tendencja. Sąsiedzi posadzili wiśnie, a my z bratem wiśnie i jabłonie. Mieliśmy wspólne ogrodzenie, a ja udostępniłem dla wszystkich udziałowców sprzęt do ochrony. 1 czerwca 1975r. (w dzień powołania nowego województwa) ożeniłem się. Moją żoną została, pochodząca z rodziny o sporych tradycjach ogrodniczych, Marianna Łukawska, również absolwentka lubelskiego ogrodnictwa.

Praca zawodowa nas obojga plus 3-hektarowe gospodarstwo sadownicze pozwoliło nam na przyzwoity poziom życia materialnego - jak na polskie warunki - oraz na budowę dużego domu, który wybudowaliśmy na początku lat 80. Wtedy wydawało się, że taki układ jest optymalny i to



nas trochę uśpiło. Nawet zrezygnowałem z pracy zawodowej jako mało opłacalnej. Woląłem poświęcić się tylko praktycznemu ogrodnictwu. Zaczęliśmy dokupywać ziemię i zakładać planacje, m.in. czarnej porzeczki. Właściwie można powiedzieć, że na progu lat 90. sadownictwo zaczęliśmy od zera, jako że zgodnie z duchem czasów założone sady były już zupełnie inne od tych tradycyjnych. Nowe odmiany (Jonagold, Szampion, Gala, Elize) posadziliśmy na podkładkach karlowych lub półkarlowych. Taka inwestycja sadownicza wymaga sporych nakładów. Dziś mamy ponad 30 hektarów ziemi pod sadami i jagodnikami. Wydawałoby się, że powinniśmy być już bardzo bogaci, a tu się okazuje, że opłacalność tak bardzo spadła, iż wcale się nie żyje łatwiej niż dawniej z 3 hektarów. Ciągłe inwestujemy. Teraz lwią część zysków pochłania budowa chłodni, która wiele kosztuje - tyle co luksusowa willa w mieście. Pomagaliśmy sobie kredytami. Teraz ich nie ma. Jednak dla nowoczesne-

szego brata Stanisława do założenia wspólnego 10-hektarowego sadu zblokowanego - taka wtedy panowała tendencja. Sąsiedzi posadzili wiśnie, a my z bratem wiśnie i jabłonie. Mieliśmy wspólne ogrodzenie, a ja udostępniłem dla wszystkich udziałowców sprzęt do ochrony. 1 czerwca 1975r. (w dzień powołania nowego województwa) ożeniłem się. Moją żoną została, pochodząca z rodziny o sporych tradycjach ogrodniczych, Marianna Łukawska, również absolwentka lubelskiego ogrodnictwa.

go sadownika innego wyjścia nie ma, gdyż tylko owoce najwyższej jakości, przechowane w odpowiednich warunkach, są smaczne nawet późno, na wiosnę.

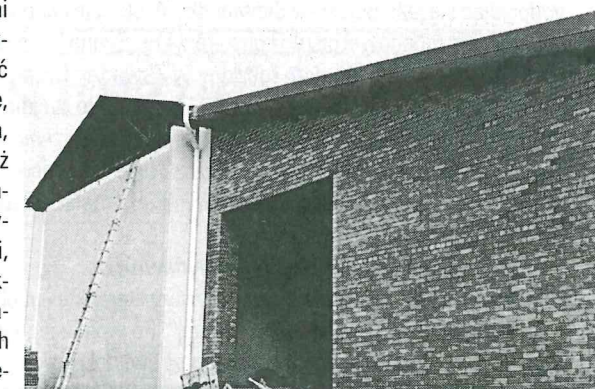
Nasze gospodarstwo od 9 lat prowadzi sady metodą integrowanej produkcji, znaczy to, że stosujemy tylko najbardziej przyjazne środowisku środki chemiczne, stosujemy biologiczne zwalczanie szkodników przy pomocy ich naturalnych wrogów. Owoce nasze są sprawdzane laboratoryjnie pod względem zawartości pestycydów. Okresowo sprawdzana jest zawartość szkodliwych substancji i metali ciężkich. Odizolowaliśmy się od szosy gęstym żywopłotem. Na razie jednak korzyści z prowadzenia integrowanej produkcji są niewielkie. Raczej natury symbolicznej, jako że mamy ich w Pol-



sce 177. To jest dopiero przyszłość. Potrzebna jest większa promocja. Myślimy też o nawadnianiu upraw sadowniczych.

Mimo kłopotów uważamy jednak, że sadownictwo i tak ma się lepiej od typowych kierunków rolniczych i grzechem byłoby narzekać. Ciągłe mamy nadzieję, że po wejściu do Unii nasze ogrodnictwo będzie konkurencyjne. Mamy czterech synów; Tomasz kończy socjologię w tym roku, Paweł - studiuje w Wyższej Szkole Biznesu, Marcin - rozpoczął studia informatyczne we Wrocławiu, Bartłomiej - uczeń czwartej klasy Technikum Ogrodniczego w Sandomierzu- Mokoszyńcu. Ten najmłodszy typowany jest na głównego ogrodnika.

*Spisał Józef Myjak*





# ZAWADA - BAŁTÓWKA - PODLESIE

## Ożarowski słownik biograficzny

### CHRUŚCIAK JAN



Urodził się 15 października 1911 r. w Zawadzie, w rodzinie chłopskiej. W młodości nauczył się murarki i wraz z bratem Władysławem budował domy w okolicach Ożarowa. W rodzinnej wsi współorganizował koło Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Był też wiejskim muzykantem. Grał na trąbie w kapeli dętej. Powołany do wojska, służył w przemyskim pułku saperów. Latem 1939 r. został zmobilizowany i wziął udział w wojnie obronnej. Po klęsce wrześniowej przedostał się wraz z innymi żołnierzami swojej kompanii na Węgry, gdzie został internowany. Udało mu się jednak uciec i przez Włochy dostał się do Francji. Tutaj został zmobilizowany do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Dostał się do 10. Brygady Kawalerii Pancerniej generała Stanisława Maczka. Wraz z nią bronił Francji przed hitlerowskim najeźdźcą. Po ewakuacji nadal służył w tej formacji, która przyjęła nazwę I Dywizji Pancerniej. Przeszedł z nią zwycięski szlak bojowy przez Francję, Belgię i Holandię - doszedł w kwietniu 1945 r. do Niemiec. Po wojnie - jak generał Maczek -

pozostał na emigracji w Anglii. Wrócił do zawodu murarza i odniósł w nim zawodowy sukces. Kupował stare domy i po gruntownym remoncie odsprzedawał z zyskiem. Dzięki temu stał się w miarę zamożnym, jak na angielskie stosunki, człowiekiem.

Dal się też poznać jako prężny i efektywny działacz kombatancki. Naczelnym celem jego działalności społecznej było utrzymanie polskości na obczyźnie. Służył także pomocą osobom samotnym i zagubionym na angielskim gruncie, a takich nie brakowało wśród zdemobilizowanych polskich żołnierzy.

Jan Chruściak zorganizował i poprowadził Komitet Pomocy Repatriantom. Wracającym z Rosji, wysyłał transporty odzieży i innych rzeczy. Zorganizował kupno Domu Polskiego w Bedford, gdzie ulokował polską szkołę. W Luton, w którym się osiedlił, zorganizował Koło Byłych Żołnierzy i Ich Rodzin, kupił Dom Kombatancki, w którym działał aktywnie wraz z żoną Ireną. Założył tu w 1960 r. koło Stowarzyszenia Polskich Kombatanatów (SPK), które zostało zarejestrowane pod numerem 364 w Luton - Dunstable. W czasie stanu wojennego i w trudnych (zaopatrzeniowo) dla Polski czasach Chruściakowie organizowali pomoc charytatywną dla Polski. Często z własnych pieniędzy.

Za waleczność i działalność społeczną Jan Chruściak odznaczony został m.in. Krzyżem Walecznych, krzyżem za udział w wojnie 1939 r., Krzyżem Pierwszej Dywizji Pancerniej, Krzyżem Weterana Walk

o Niepodległość, Srebrnym Medalem Zasłużonemu Saperowi, krzyżem Polonia Restituta, Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi, Kombatanckim Srebrnym Krzyżem Zasługi, trzema medalami za udział w wojnie i obronie Anglii, francuskim Krzyżem za Walki we Francji, holenderskim Krzyżem Wdzięczności, Krzyżem Zasługi SPK.



Jan Chruściak zmarł w wieku 85 lat 2 listopada 1996 r. w Luton. Po kremacji urna z jego prochami - zgodnie z życzeniem zmarłego - została przewieziona do Polski i złożona w grobie rodziców na cmentarzu w Ożarowie. Zmarły pozostawił żonę Irenę i dwóch synów: Waldka i Dereka, który obecnie pracuje w Polsce jako przedstawiciel zachodniej firmy.

*Józef Myjak*

### BIŃCZAK JÓZEF

- ps. konspiracyjny „Ziemowit”, literacki - Bolesław Słowiański, urodził się w 1914 r. w Zawadzie. Działacz „Wici” i członek Stronnictwa Chłopskiego, poeta i publicysta ludowy. Przed wojną drukował swoje utwory w prasie ludowej, podpisując się jako Bolesław Słowiański. W okresie okupacji przez pewien czas redagował pismo konspiracyjne „Sygnał”, a następnie „Chłopski Sygnał”. Jego dom rodzinny w Zawadzie był przystanią dla członków „Rocha” i Batalionów Chłopskich. Po wojnie krótko przebywał w Ostrowcu Świętokrzyskim, następnie przeniósł się do stolicy, gdzie osiedlił się na stałe. Przez wiele lat pracował jako redaktor w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Działacz Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego.

#### Twórczość literacka i działalność wydawnicza

W latach 1930-39 ogłaszał swoje utwory literackie i publicystyczne w „Wiciach” i „Młodej Myśli Ludowej”. Po wojnie jego wiersze ukazały się w „Antologii współczesnej poezji świętokrzyskiej” (1947),

w zbiorze wierszy poetów Kielecczyzny „Ziemia mojej duszy” (WDK Kielce 1964), na łamach „Wsi”. W 1968 r. ukazał się jego tomik poezji „Pora kłosów” (LSW 1968), gdzie m.in. pomieścił wiersze ukazujące piękno rodzinnych stron. Opublikował także: „Ractawice 1937” Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1957 r., „Święto Ludowe 1904-1964” LSW 1965, „Święto Ludowe. Recytacje i inscenizacje” - bezpłatny dodatek świetlicowy do numeru 20. „Zielonego Sztandaru”, „Wojtek Trąba (Antoni Balawajder), Gawędy”, opracował i wstępem opatrzył Józef Bińczak, Warszawa 1959; Józef Bińczak: Wstęp do wyd. Wojciech Skuza „Wybór utworów”, Warszawa 1955. „Wojciech Skuza. Wiersze i proza”, wstęp, wybór i opracowanie Józef Bińczak, LSW Warszawa 1977.

Józef Bińczak opublikował też wiele tekstów krytycznoliterackich i publicystycznych na łamach gazet i czasopism, m.in. „Tygodnika Kulturalnego”, „Literatury”, „Zielonego Sztandaru”.

*J.M. - PAIR*

## WITRYNA LITERACKA

JÓZEF BIŃCZAK  
(Bolesław Słowiański)

### PIERWSZA MIŁOŚĆ

*Tędy (teraz jest tu dywan lucerny)  
biegła (ileż to lat temu?) ścieżka:  
dziś wiodąca nikłym śladem w przeszłość,  
a wówczas - ku dniom obecnym.*

*Ta ścieżka  
ukazała mi, małemu dziecku,  
brzeg strumienia  
i kusila, bym poznawał nieznane.*

*Za zieloną grzywą wisu  
dziw pluskał,  
a piasek pod olchą jak sól czysty  
tańczył z odpryskami słońca,  
nieśmiało dotykał  
czerwonych glist korzeni,  
opadał.*

*Tu się zrodziła  
moja pierwsza miłość  
do słońca, ziemi i wody.*

### TU BYŁ DOM I ŚCIEŻKA

*Drobne stopy, gdy minęły próg,  
dotykały ścieżki  
blichującej się  
między polem żyta a grządkami kapusty.*

*To właśnie stąd  
wyruszyłem, sam przez siebie wyrzucony,  
aby teraz -  
znów powrócić,  
jak bumerang.*

*Już nie ujrzę domu,  
który dawno uniósł się dymem w górę,  
nie pomoże  
żadne przetarcie oczu.*

*Tamtego progu nie ma  
i teraz nie wiem -  
co mam przekroczyć.*

### TAM

*Tutaj nawet wiatr wie,  
że nie należy deptać trawy,  
więc ostrożniutko człapie aleją.  
Przeciera oczy.  
Odpędza sen.  
A tam w Zawadzie wiatr  
ledwo nogami dotyka rozchwianych zbóż,  
mknie w susach jak jeleń!  
I czasem tupie  
Wrota stodoły otwiera, woła...  
Lecz nadaremnie. Naburmuszony,  
na powierzchni sadzawki marszczy brew.*

### RZE • BIENIE

*W świeżo wydobytej glinie  
szukam ocalenia  
twarzy  
pięknej  
Szukam i odnajduję  
uśmiech  
i zaczęte słowo -  
dokończone spojrzaniem  
Przypadkowo napotkany  
kamyczek  
- miniaturka serca -  
ożył.*

### KŁOS

*W środku Warszawy -  
Kłos żyta!  
Skąd i jak przywędrował  
aż tu, na skraj chodnika?*

*Daje znak,  
napomina,  
że w polach żniwa!*

*Jest złamany wpół,  
podobny do nogi  
polnego konika.*

*Całym sobą  
zda się sprężyć do skoku,  
by wzlecieć  
ponad dachy domów  
i znów wrócić  
tam...*

## OGÓLNOPOLSKI DZIEŃ BEZPŁATNYCH DIAGNOZ LOGOPEDYCZNYCH

Poradnia Psychologiczno-Pedagogiczna w Ożarowie w ramach akcji organizuje bezpłatne badania logopedyczne dla dzieci i dorosłych.

Termin badań: 18.11.2001 r. w godz. 10<sup>00</sup>-15<sup>00</sup> w budynku M-GOK w Ożarowie przy ul. Stodolnej 3.

Nr tel. PPP - 8611 002, M-GOK - 8611 085.



## KARTKI ZE ŚWIATA OBRAZ MANHATTANU NIEDOKOŃCZONY

Pierwsze wrażenie: wielu ludzi. I wszyscy w biegu. Ryczące klaksony samochodów i nie mniej głośni kierowcy, serwujący sobie wzajemnie „komplementy”, bynajmniej nie za dobrą jazdę.

Droga do hotelu: „My, Amerykanie, mamy największe budynki; na prawo - bliźniacze wieżowce World Trade Center, Empire State Building, a w oddali, proszę podziwiać, Statua Wolności”. Proszę bardzo, podziwiamy. Chociaż zmęczone podróżą, namiętnie chwalimy każdy mijany obiekt.

Pobyt w hotelu: dzień dobry, miło powitać, jak się macie, uściski, kuksańce, dobranoc, słodkich snów; dzień dobry, jak się macie, miłego dnia, udanego lunchu, proszę się uśmiechnąć - jesteśmy w Ameryce. Potulnie się uśmiechamy. Wieczorny brud i odór miasta nie dają spać, równie uciążliwie, jak klimatyzacja, która gra swoją mocną melodię na wzór kapeli heavy metalowej. Lubię heavy metal. Jednak nie w czasie snu. Mimo fascynacji muzyką.

Witamy rodziny goszczące, tzw. host families, może niezupełnie, bo to one nas witają. Cmok - cmok w policzki, jak się masz, jakie wrażenia, a tak w ogóle miło Cię poznać. Wzajemnie. Na razie.

Pierwszy wolny tydzień: kino. Zrozumiałam połowę filmu (tę beznadziejną). I tak dobrze. Zakupy: wszystko mamy w kraju. Wycieczka kilka ulic dalej: Times Square i Rockefeller Center. Rany boskie! I z kłapkami na oczach można przeżyć wstrząs. Głośno, gwarno i kolorowo. Wytatuowany kowboj w kapeluszu, slipach i butach jedynie, przygrywa na gitarze. Prawdopodobnie przeżywa drugą mutację głosu i zbiera pieniądze na zabieg chirurgiczny. Całkiem właściwie. Na wielkich ekranach, sięgających niemalże nieba (jakie niebo? przy prawie stupiętrowych wieżowcach trudno je dostrzec), błyskają spoty reklamowe; modelki, modele, piękno w całej krasie. Obok reklamy banków, lodówek, kosmetyków i prywatnych spółek. A pod dumnie uśmiechającymi się pięknościami... szary tłum uparcie walczący z wszechobecną nadwagą. Miliony ludzi, kupujące produkty żywnościowe oznaczone: FAT FREE lub LOW FAT. I proszę sobie wyobrazić, że pomimo beztłuszczowych szyniek, boczków, jogurtów i ciast nadwaga pozostaje wrogiem numer 1. Zresztą problem jest tu głęboko zakorzeniony: baru z piwem jedynie się nie uświadczy. Wszędzie dodatkowo serwują frytki, kurczaki, hamburgery lub przysmaki kuchni, powiedzmy, chińskiej.

Przebiegny Polak po pierwszym piwie jest jeszcze głodny, po drugim mniej, a po trzecim marzy tylko o kilku kolejnych. Dalej: jest splukany i o żadnym hamburgerze nie ma mowy. Pije, a nie tyje. Przeprowadza się tu ostrą kampanię antyalkoholową (do baru można wejść tylko wtedy, gdy się ukończyło 21lat), a także antynikotynową (papierosy kupić można tylko, gdy jest się powyżej 18. roku życia).

Poza tym nie całkiem, a właściwie wcale, nie oplać się kupować czy to piwo, czy papierosy, jako że ceny obydwu przerażają zwykłego śmiertelnika z Polski (jakim, mniemam, jestem).

Wyprawa na Greenpoint: Greenpoint to polska część Brooklynu. Polskie sklepy z przetworami „Kruska”, kielbasa, polskie pierogi. „Żywiec”. Ale przede wszystkim rodzinną literaturę w KSIĘGARNI, a nie żadnym BOOK STORE. I znajomi! Na miejscu wręcz będzie motto: „Jeśli kogoś szukasz, zacznij od Nowego Jorku!”. Ale to także rzucający mięsem robotnicy, bełkocący w ciemnym kącie baru, „póki my żyjemy, ona żyje też...”.

Wracam z Manhattanu. Obserwuję ludzi, biega-



jących ( uprawiających jogging!) w Central Parku. Niedośzli sportowcy. Liczą się chęci. How are you? Mam się dobrze. Dziękuję. Miło było poznać. Pa - pa. Mieszkam na Broadway'u. Dwie ulice dalej: Kevin Bacon; gdzieś dalej: Woody Allen. Może by tak autograf?

Tak sobie marzyłam, ja - człowiek uświadomiony w kwestii tutejszych układów politycznych, do 11 września. Tego dnia zamarzyłam, aby być w domu. Ale jak? Wpław? Do samolotu na razie nie wsiądę. Zresztą, żadna przyjemność tak sobie latać. Gdyby człowiek był stworzony do latania, Bozia dałaby mu skrzydła. Czy ktoś ma skrzydła? A jednak pływać lubię, choć w skrzela nikt mnie nie wyposażył. Zawsze to jednak bardziej naturalne, moim zdaniem. To pływanie, ma się rozumieć.

Przypuszczam Czytelniku, że teraz się uśmiechasz, teraz ja też się uśmiecham.

Są tu jednak ludzie, którym nie będzie do śmiechu jeszcze przez parę miesięcy. Może dłużej. Chcą zemsty. „My, Amerykanie, najlepsza nacja (sic!) na świecie, nie damy się!” - krzyczą wiecznie uśmiechnięci politycy. Flagi na ulicach, wiecznie śpiewający przechodnie. Dusza amerykańska to patriotyzm w czystej postaci. Brzmi niewiarygodnie (dla mnie), ale czasem żaluję, że nie widzę na polskich ulicach dzieci śpiewających, jak to mocno kochają swój kraj. Nucących to tak samo naturalnie jak piosenki z „Domowego przedszkola”.

W sprawy polityczne się nie mieszam. Stwierdzam to zgodnie z prawdą i na znak wiarygodności właśnie podnoszę prawą rękę na wysokość oczu. Tak więc: nie wiem dokładnie, z jakich powodów, jakim sposobem i właśnie wbrew czemu walczą Afgańczycy? Jedyne się domyślam. Ale znam powód, jak i Ty, Drogi Czytelniku, dlaczego Amerykanie atakują Afganistan. Nie znam Twojej opinii na ten temat. Nie chcę Cię zaskoczyć. Amerykanie się cieszą. Jeśli ktoś śmiał zaatakować amerykańską ideę - sen o wolności, to popamięta. Tak ostre opinie, formułowane przez te ciągle uśmiechnięte twarze, od razu przypominają główne postacie Molierowskich komedii. Ale to nie literatura, „Tu idzie o życie”. Jakkolwiek sytuacja się potoczy, sukces (lub porażka!?) Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej będzie głównym elementem ogólnego poczucia dumy narodowej przez najbliższe 50 lat.

... Tylko tragedie są zawsze jednostkowe... Prawie ostatnie słowo: podoba mi się sposób wychowania. To, że dzieci są otwarte, odważne, sympatyczne. Od początku życia mają prawo wyboru.

Podoba mi się także (z pewnych względów) sposób myślenia. Otóż: 12-latką tutaj odpowiada rozwojowo 14 - 15-latec w Polsce. Nie zgłębiam przyczyn. 60-letnia osoba odpowiada 40 - 45-letniej. Istnieje tu jakby podział na 3 kategorie: 1 - dzieciństwo (1-10); 2 - siła wieku (10-70); 3 - prawdziwa starość. Nikt nie chce być ani w pierwszej, ani w trzeciej. Dlatego dziesięciolatki robią makijaż, a 60-letnie panie jeżdżą na rolnkach, słuchając hip - hopu z walkmana.

Więcej ciekawostek nie pamiętam. Jak odnajdę w odmętach mojej pamięci, znów napiszę. Miło było (jak zwykle tutaj, ale tym razem zupełnie polsko i szczerze) nawiązać kontakt z Tobą, Czytelniku. I mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy. Bye.

Agnieszka Cymbalista

### STOJĄC PRZED LUSTREM ŚWIATA

*Przypatrujesz się ramionom słońca  
Obejmującym niegasnącą Legendę Wieków.  
Spostrzegasz rysę...  
Tysiące, miliony kawałków lustra  
Rozsypują się w przestrzeni  
Krwawiącego globu.  
Nie wiesz co robić,  
Chcesz uciekać,  
Brak Ci słów.  
Wstrzymujesz oddech...  
... i płaczesz  
Smugą dymu  
Opadającą niczym płatki śniegu  
Na tysiące Aniołów  
Wkraczających na łono Abrahama  
W straconych zachodach miłości.*

Zuzanna Miś

## TKANINA PRZEŁOŻONA NA SZTUKE

Tkanina artystyczna jest dziedziną plastyki, której początki osadzone są w starożytności. Początkowo człowiek tkal z nici wełnianej, lnianej, konopnej, bawełnianej - płótna, tkaninę - wyłącznie w celach praktycznych, żeby chronić ciało przed zimnem. Później odzież stała się równoległym źródłem doznań estetycznych, zarówno dla tego, który ją nosił, i dla tego, który ją oglądał - i tak zostało do dzisiaj.

Mimo zmieniającej się mody, wynalazków, ulepszeń etc., tkanina ma się wciąż dobrze. Może tylko taka zaszła radykalna zmiana, że już prawie nikt nie tka na krosnach płótna czy tkaniny na odzież.

Zamiast kobiet przy kądzieli lub krosien drewnianych w wiejskiej chałupie widzi się rozległe hale z potężnymi tkalniami automatycznymi.

Tkacka tradycja jednak nie zginęła całkowicie. Z tym tylko, że przeszła wyłącznie w rewiry artystyczne. Stała się samodzielną, wysoko cenioną dziedziną plastyki. Tkaczki (piszę w rodzaju żeńskim, gdyż dziedzinę tę zdominowały kobiety) nici wełnianej, bądź lnianej tkają obrazy, a czasem i rzeźby. Polki mają wiele osiągnięć - najbardziej znaną polską tkaczką w świecie jest Magdalena Abakanowicz, twórczyni niezwykłych dzieł, które nawet mają własną nazwę - abakany.

Na naszym regionalnym gruncie indywidualnością artystyczną jest sandomierszanka, Alicja Aleksandrowicz, której prace możemy obecnie oglądać w Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury w Ożarowie. Alicja Aleksandrowicz tą dziedziną plastyki zajmuje się od czasów szkolnych, kiedy to była uczennicą Państwowego Liceum Plastycznego w Kielcach, oczywiście w klasie tkactwa. Po

jego ukończeniu pracowała przez kilka lat jako dekorator. Od dłuższego już czasu zajmuje się wyłącznie tkaniną artystyczną. Jest to jej podstawowe zajęcie, z którego się utrzymuje. Uczestniczyła w wielu wystawach krajowych i zagranicznych. Zdobyła niemało nagród i wyróżnień. Ma ministerialne uprawnienia zawodowe.

Jej gobelin z sandomierską panoramą trafił jako dar miasta dla Jana Pawła II. Praca „Travers” zdobi ratusz w niemieckim Emmendingen, inne tkaniny upiększają wnętrza w Austrii, Australii, Francji, Szwecji, USA, na Węgrzech.

Tkactwo to specyficzne zajęcie, do którego uprawiania potrzeba nie tylko talentu plastycznego, zdolności manualnych, wrażliwości estetycznej, ale przede wszystkim wielkiej cierpliwości i zwykłej pracowitości. Tu nie wystarczy parę kresek, maźnięć pędzlem, ale wielogodzinne ślęczenie nad drewnianą ramą, na którą naciągnięte są pionowo nici osnowy - zawsze tak samo. Natomiast to, co decyduje o artystycznym wyrazie tkaniny, zawarte jest w wątku, czyli wiązaniu supelków na

stabilnej osnowie. Zatem cała istota tkactwa artystycznego tkwi w umiejętnościach warsztatowych tkaczki i specyficznej wyobraźni, podpowiadającej jaką nitkę dobrać i jak ją poprowadzić, by uzyskać zamierzony efekt.

Alicja Aleksandrowicz nie sporządza specjalnie projektów, a przecież jej obrazy nitką malowane są starannie zakomponowane. Niektóre nawet cechuje wyrafinowane dobranie motywu przed zdobniczych, bo w końcu gobelin służy przede wszystkim do ozdabiania wnętrz, nadania mu kameralności, złudnej ciepłoty. Pamięta o tym zawsze ar-



tystka i tak przygotowuje, że jej prace podobają się wszystkim. Podziwiają tkaniny Aleksandrowicz znawcy i przeciętni zjadacze chleba. Dlatego też jej pracownia w drewnianym domku u stóp sandomierskiego zamku jest pełna zamówień. Miłośnicy talentu tej artystki na realizację swych zamówień oczekują przeszło pół roku. Dużym wzięciem cieszą się gobeliny z motywami sandomierskimi, a także roślinnymi. Ostatnio A. Aleksandrowicz skończyła dużą tkaninę, która ozdabia już reprezentacyjną salę stacji Polskiej Akademii Nauk w Paryżu.

Ożarowska wystawa daje odbiorcom możliwość poznania twórczości tej niezwykłej artystki - co prawda większość prac powędrowała w świat, ale te zgromadzone dają świadectwo talentu i pracowitości. Urzekają szczególnie baśniowe, „leśmianowskie” kompozycje, wyrosłe z fascynacji światem natury.

Józef Myjak





## DROGA PRZEZ MEKĘ

Jest w życiu coś więcej do zrobienia, niż tylko zwiększać jego tempo - tak twierdził Mahatma Gandhi.

Na problem tempa życia można spojrzeć wielostronnie. Czasem wydaje się, iż sami je sobie narzucamy, innym razem ma się wrażenie, że człowiek nie ma wpływu na rytm wydarzeń, że nie potrafi gospodarować czasem danym tu i teraz, zaś natłok przeszkód i szereg utrudnień w codziennej egzystencji stają się nie do pokonania... Nie są to - bynajmniej - wynurzenia wysrane z palca. Świat i życie stanowią określoną całość. Wszystko ma w nim swoje miejsce: przyroda i człowiek, a raczej ludzie, machina instytucji i przepisów, które są mało czytelne - więc interpretuje się je wieloznacznie, wreszcie progi i bariery codzienności, gdzie każdy ma określoną drogę do pokonania...

Powyższe wynurzenia nie są alegoryczne, zresztą nawet gdyby były, to stanowią komunikatywną wykładnię upokorzenia, na które narażeni są ludzie w toku załatwiania tzw. spraw urzędowych.

Nie generalizuję problemu, tzn. nie uogólniam, nie twierdzą też, że wszędzie kładzie się kłody pod nogi interesantów, a jednak funkcjonują obszary reformy, gdzie pokonanie ilości wymaganych wniosków, zaświadczeń, opłat w postaci znaczków do podań jest tak porażająca, że aż wprawia w zdumienie. Nie przesadzam, proszę przeszedź tok załatwiania pożyczki dla studentów - to wystarczy, żeby wiza jej uzyskania odeszła w siną dal. Po pierwsze banki mają inne druki niż uczelnie (tu zaczynają się dysonanse). Po drugie, jak jest rodzeństwo po 16. roku życia, to należy w urzędzie skarbowym starać się o NIP dla owych, chociaż jako małoletni, nie mają dochodów, choćby chcieli, w dodatku jak jest np. trójka rodzeństwa, to dla każdego należy pisać oddzielną prośbę o przydział NIP - plus znaczek i szafa wcale nie gra, zaś klimat „zadowolonia” zdecydowanie rośnie. Jest jeszcze problem znalezienia trzech poręczy, zgromadzenie ich w określonym czasie wraz ze współmałżonkami (co czasami graniczy z cudem). W podobnej sytuacji uzyskanie pożyczki w styczniu przybiera formę znikającego punktu.

Można „gdybać” nad problemem - jak się mają zachęcające reklamy wobec możliwości pozyskania takiego kredytu, ale to prowadzi donikąd.

Przecież obiecywano, że będzie mniejsza biurokracja, że skróci się droga interesantów do biur, banków i wszelkich instytucji typu administracja, placówki służby zdrowia, mnożące się banki i inne zakłady użyteczności publicznej. Tak nakreślano obraz zhumanizowanych reform w kilku ważnych dziedzinach życia społecznego, przekonywano, iż korzystanie z dobrodziejstw wszelakich (łącznie z honorowaniem tzw. oświadczeń, które miały mieć moc prawną) będzie prostsze, bliższe wiedzy i świadomości przeciętnego obywatela, który niekoniecznie musi być znawcą przepisów - ale ma prawo do informacji, jak i w jaki sposób posłużyć się nią. Nadto prosząc o odpowiedź na pytanie, dlaczego i w jakim celu - oczekuje rzetelnej informacji, podanej w miarę grzecznym tonem...

I co? Wystarczy mieć drobną sprawę do załatwienia i zaczyna się chodzenie za różnymi, „kwitami”, zbiera się „papiery” - bo bez nich sprawa nie wygląda na istotną, czy jak...z jednej strony media przekonują o dobrodziejstwach reformy zdrowia i administracji - z drugiej strony samo życie koryguje błędy, wyłuszcza wszelkie lapsusy prawne, niedobory w zakresie organizacji i zarządzania - choć nie tylko. Wszelkocenna i kompletna jest jedynie dezinformacja tych, którym reforma miała ułatwić życie. Żeby się leczyć, musisz być zdrowy, to fakt - nie żaden tam alogizm, ponieważ drogi załatwiania różnych zgód i pozwoleń kas chorych (zwane przedziwnie p r o m e s a m i) to szereg przeszkód do pokonania. Najpierw prosiłam o promesę na przyjęcie do przychodni w innej kasie chorych, potem konieczna była hospitalizacja - zatem znów starałam się o kolejną zgodę na refundację kosztów. W trakcie diagnozowania szpitalnego okazało się na przykład, iż można czekać kilka godzin z tzw. pełnym pęcherzem na badanie USG i... niestety, nie skorzystać z niego z prozaicznego powodu: pielęgniarka zapomniała o badaniu i ustalonej godzinie, zatem badanie jakby umknęło sprzed nosa... Inna historia

dotyczy pospolitego bałaganu, jaki panuje w renomowanej skądinąd placówce leczniczej, ot choćby zagubienie rzeczonych promesy, bądź dwumiesięczny okres oczekiwania na wyniki badań! To jeszcze nie koniec perypetii, które są konsekwencją nieudolności w zakresie funkcjonowania kas chorych - w trakcie diagnozowania wynikała potrzeba wykonania rezonansu magnetycznego, badanie ustalono za tydzień po wypisie ze szpitala - wręczono skierowanie do placówki wykonującej rezonans i tu się zaczyna bardzo niemiła historia pacjenta zawieszona między logiką przepisów a interpretacją kas chorych. Zdaję sobie sprawę, że RM jest bardzo kosztownym i wysoce specjalistycznym badaniem, skoro jednak zaleca go lekarz - to widać jest ono niezbędne do uszczegółowienia obrazu diagnostycznego, ale w imię czego wymagana jest kolejna - trzecia z kolei - promesa, tego nie wiem. To znaczy domyślałem się, że chodzi o wygzekwowanie pieniędzy bezpośrednio z kasy chorych, bez udziału szpitala kierującego, z drugiej strony wiadomo mi, iż nie wydaje się takiego dokumentu, który jest przypisany wyłącznie jednemu badaniu! Z tytułu tych doświadczeń wiele osób jest w stanie dezorientacji, w sytuacji groźnego opłata ponad 700 złotych za w/w badanie.

Czy można nie reagować, czy należy przechodzić obojętnie wobec takich sytuacji - gdzie pacjent stanowi rodzaj ofiary, wcale nie z wyboru. Przecież obiecywano, że wprowadzenie kas chorych ułatwi tę sferę życia, która wiąże się z koniecznością szukania wsparcia, pomocy w ratowaniu zdrowia - a tu masz babo placek, jak chcesz się leczyć, to bądź zdrowy i koniecznie odporny albo startuj prywatnie i ciąg dalszy nastąpi.

Powyższe wynurzenia nie napawają optymizmem, ale wcale nie są gorzkimi żalami zagubionego człowieka. Chodzi o to, żeby nasza społeczna świadomość praw pacjenta, klienta czy interesanta była na tyle pełna, rzeczowa i wiarygodna, żeby nie robiono z nas przysłowiowego „głupa”, bo nie każdy ma siłę przebicia, moc argumentacji i psychiczną odporność do wywalczania swojego. Mimo wszystko życzę zdrowia w drodze po zdrowie...

Maxi

## NIEZWYKŁOŚCI Z OZAROWSZCZYZNY

### CZAKRAM W SZYMANÓWCE?

PREZENTOWANY NA TYCH ŁAMACH W POPRZEDNIM NUMERZE „OZAROWA” ZYGMUNT PODGÓRSKI TWIERDZI, ŻE W OKOLICACH JEJEGO RODZINNEJ WSI ISTNIEJĄ CZAKRAMY - CZYLI MIEJSCA NIEZWYKŁEJ MOCY CZERPAJĄCEJ Z KOSMOSU I GROMADZONEJ W KAMIENIACH.

Z CZASÓW DZIECIŃSTWA PAMIĘTA, ŻE NA SKRAJU LASU POZYDOWSKIEGO, OKOŁO 50 METRÓW OD SZOSY SZYMANÓWKA - LASOCIN, ZNAJDUJĄ SIĘ TAJEMNICZE ZAGŁĘBIENIA, ONGIŚ GŁĘBOKIE NA OK. 1METR I O ŚREDNICY OKOŁO 4 METRÓW. CAŁOŚĆ TEGO KRĘGU OTOCZONA BYŁA ZIEMNĄ KORONĄ. BAWIĄCY SIĘ W TYM DOLE CHŁOPCY Z SZYMANÓWKI, ZNAJDOWALI KAWAŁKI WĘGLA DRZEWNEGO I ŚLADY POPIOŁU.

Podgórski przypuszcza, że tu zapewne palono często ogniska. Starsi opowiadali dzieciom, że to diabły musiały tu wytapiać smołę NA ZAOPATRZENIE PIEKŁA. W ŚWIADOMOŚCI WIOSKOWEJ TO MIEJSCA TRAKTOWANO JAKO NIEZWY-

WÓR DO ŚMIETNIKA - CHODZI O TO, ŻEBY POZOSTAWIĆ PO SOBIE DOBRE IMIĘ, ZAŚ O TYM DECYDUJE TZW. CAŁOKSTAŁ. Powyżej opisana sytuacja nasuwa liczne wnioski i przykłady, w zasadzie nie ma się nad czym rozkładać, a jednak nie można nie reagować, skoro drzemiamy w nas tak duże pokłady malkontencji, niezadowolonia, krytykanctwa, narzekania, gdybania - to może warto zacząć poprawę w sferze myślenia i wyobraźni o tym, za co jesteśmy odpowiedzialni... Zaczęć od poczucia obowiązku o miejsce pracy i formę wywiązywania z obowiązku wobec klienta, ponieważ klient - od zawsze - postrzegany jest za Pana, właśnie przez duże P. Pisząc o kliencie, mam na uwadze szeroką gamę znaczeniową pojęcia, wszak klientem jest się nie tylko w sklepie, w kasie chorych czy w szkole /to nie pomyłki/ - chcąc, nie chcąc, sami musimy znać nasze prawa, zaś to wyzwoli z kolei mechanizmy umięjętnego upominania się o należne traktowanie i poszanowanie człowieka jako klienta właśnie. Nieustannie - jako osoba dojeżdżająca do pracy - obserwuję i słyszę komentarze kierowców, że pasażer winien mieć odliczone drobne pieniądze na bilet. niekoniecznie mile wypowiedziane. To ciągłe nieprzygotowanie kierowców PKS do pracy, przejawiające się niewydaniem 5 czy 10 groszy bywa bardzo drażniące, jakby tak wszystkie takie grosze zliczyć, to zebrałoby się pewnie na kolejną opłatę za bilet bez przygadawania... Okazuje się, że wszyscy czują się uprawnieni do pouczenia, gorzej z efektami samodoskonalenia. Znów nie uogólniam problemu, ale nie mogę przejść obojętnie wobec np. takiej kwestii: „Jak się nie podobają zwyczaje w PKS, to niech pani jeździ TAXI”. Taki tekst rzucony wobec osoby starszej, która ledwo zdążyła dobiec do autobusu - nie jest ani grzeczny, ani taktowny. Narzekając na wszelkie dolegliwości życia (a jest ich - w rzeczy samej - w nadmiarze), proponuję, aby zacząć od naprawy małych niedociągnięć wokół siebie, warto zwrócić uwagę na wartość i jakość stosunków międzyludzkich, wreszcie poczujmy się ważnymi Klientami, którzy, placąc za różne usługi, mają prawo wymagać! Zamiast zaczynać od Bacha, jak proponuje artysta Wodecki - zacznijmy od autorefleksji, w niej mieści się samo życie - i to wcale nie w wersji serialowej.

J. M.

## SAMO ŻYCIE

„Przepraszam, może ma pani - młotek?” bardzo uprzejmie zapytał majster, któremu firma powierzyła wymianę jednego starego okna na drugie, znaczy się nowe okno. Zaczęłam się śmiać - myśląc, że żartuje...

„Ja pytam poważnie” - dodał nieśmiało, aczkolwiek z nutą zażenowania...

Sprawa wyglądała poważnie, mimo iż sytuacja była raczej groteskowa niż humorystyczna, natychmiast przeanalizowałam swój stan posiadania młotków, ale z przekory stwierdziłam, że dysponuję siekierą (względny sentymentalny przywiązanie do wiejskiego pochodzenia), dalej wymieniałam tasak i tłuczek do mięsa oraz poślaczany młoteczek z zastosowaniem kosmetycznym (spadek po XVIII-wiecznej kuzynce).

Muszę dodać, że mam najmniej trzy młotki, różnej wielkości i siły uderzenia, w tym jeden wszechstronny młotek szwowski! Nie chodzi o to, że jestem człowiekiem nieużyteczny - rzecz w tym, że byłam ciekawa - co też ten gość wybierze. Wybrał tłuczek do mięsa, solidny, pochodzenia wschodniego. Podziwiałam trafność wyboru, ponieważ spełnił on pokładane w nim nadzieje i - tym samym - spełnił funkcję młotka jako narzędzia pracy potrzebnego przy wymianie okna. Nie powiem, że domniemały tłuczek do mięs wszelakich, w roli młotka z wyboru stanowi antidotum na niedomogi w przygotowaniu majstra do pracy, ale świadczy o wyobraźni i zaradności tegoż.

Swoistej pikanterii w/w sytuacji dodało to, że asystował tej pracy kierowca i dystrybutor firmy, nieważne jakiej i skąd, który zapytał: „Zapomniałeś wziąć?”

Przytaczam to pytanie w celu usprawiedliwienia mojej niechęci w udostępnieniu młotka lub raczej mojej postawy badawczej, chociaż mogłam na tym wyjść jak Zabłocki na mydle... Potem zażądano noża, szufelki oraz zmiotki, tu już w cichości wykonywałam polecenia. Na koniec pozostawiono mi wizję prac wykończeniowych, które zaplanowano na dzień następny. O, przepraszam, pozostawiono mi jeszcze prezent w postaci worka ze śmieciami, jakby trudno było zostawić po sobie po prostu porządek w miejscu pracy. Za dużo wymagam? Chyba jednak nie, nie krzywdzę siebie faktu, że wyniosłam

wór do śmietnika - chodzi o to, żeby pozostawić po sobie dobre imię, zaś o tym decyduje tzw. całokształt.

Wórn do śmietnika - chodzi o to, żeby pozostawić po sobie dobre imię, zaś o tym decyduje tzw. całokształt. Powyżej opisana sytuacja nasuwa liczne wnioski i przykłady, w zasadzie nie ma się nad czym rozkładać, a jednak nie można nie reagować, skoro drzemiamy w nas tak duże pokłady malkontencji, niezadowolonia, krytykanctwa, narzekania, gdybania - to może warto zacząć poprawę w sferze myślenia i wyobraźni o tym, za co jesteśmy odpowiedzialni... Zaczęć od poczucia obowiązku o miejsce pracy i formę wywiązywania z obowiązku wobec klienta, ponieważ klient - od zawsze - postrzegany jest za Pana, właśnie przez duże P. Pisząc o kliencie, mam na uwadze szeroką gamę znaczeniową pojęcia, wszak klientem jest się nie tylko w sklepie, w kasie chorych czy w szkole /to nie pomyłki/ - chcąc, nie chcąc, sami musimy znać nasze prawa, zaś to wyzwoli z kolei mechanizmy umięjętnego upominania się o należne traktowanie i poszanowanie człowieka jako klienta właśnie. Nieustannie - jako osoba dojeżdżająca do pracy - obserwuję i słyszę komentarze kierowców, że pasażer winien mieć odliczone drobne pieniądze na bilet. niekoniecznie mile wypowiedziane. To ciągłe nieprzygotowanie kierowców PKS do pracy, przejawiające się niewydaniem 5 czy 10 groszy bywa bardzo drażniące, jakby tak wszystkie takie grosze zliczyć, to zebrałoby się pewnie na kolejną opłatę za bilet bez przygadawania... Okazuje się, że wszyscy czują się uprawnieni do pouczenia, gorzej z efektami samodoskonalenia. Znów nie uogólniam problemu, ale nie mogę przejść obojętnie wobec np. takiej kwestii: „Jak się nie podobają zwyczaje w PKS, to niech pani jeździ TAXI”. Taki tekst rzucony wobec osoby starszej, która ledwo zdążyła dobiec do autobusu - nie jest ani grzeczny, ani taktowny. Narzekając na wszelkie dolegliwości życia (a jest ich - w rzeczy samej - w nadmiarze), proponuję, aby zacząć od naprawy małych niedociągnięć wokół siebie, warto zwrócić uwagę na wartość i jakość stosunków międzyludzkich, wreszcie poczujmy się ważnymi Klientami, którzy, placąc za różne usługi, mają prawo wymagać! Zamiast zaczynać od Bacha, jak proponuje artysta Wodecki - zacznijmy od autorefleksji, w niej mieści się samo życie - i to wcale nie w wersji serialowej.

W. Mroczek

## COŚ BYŁO W PRZERII PO COŚ PUŚCIŁA

Do przygód z Przerią chcę i ja dodać swój kawałek, a właściwie to mojej babci, która mi opowiadała w młodości zdarzenie związane z Przerią. Przez lata ta opowiadanka tkwiła gdzieś we mnie, ale raczej na dzień mojej duszy, w podświadomości. Wywołana została jednak wcześniejszymi listami o Przerii.

Otóż moja babcia, Waleria, jak to było dawniej w zwyczaju biedrzychowskich kobiet, udała się kiedyś nad Przerię, żeby tam wypłukać delikatniejszą odzież. A dlaczego tam, a nie bliżej do strumyka? Bała się, że jej święteczna bluzka zażółci się w niezbyt czystej wodzie. Tylko Przeria dawała gwarancję bezpiecznego wypłukania. Babcia zdjęła więc z pleców zawiniątko, ukłękła na kolana w dogodnym miejscu na brzegu i zaczęła trzepotać szmatami w tafli jeziora. Kiedy skończyła płukać bluzkę i inną odzież, pochyliła się nad wodą. Wtedy zauważyła swobodnie pływający kawałek złocistej nitki. Zdziwiła się wielce. Czyżby ta jej ulubiona bluzka zaczęła się snuć? - pomyślała w pierwszej chwili. Przecież to niemożliwe - zreflektowała się po chwili z niedorzecznego przypuszczenia. Przecież bluzka jest zrobiona z białego jedwabiu, a nitka na wodzie ma złoty odcień. Poruszona ciekawością, złapała początek nici i chciała ten kawałek wyciągnąć nad wodę. Zdumiała się wielce, kiedy okazało się, że znaleziona nitka to nie kawałek, ale chyba coś więcej. Spodziewanego końca nie było widać, choć babcia miała już w ręku kilka zwójów. Zwycząłem dawnych kobiet wiejskich zaczęła nic tę porządkować, nawijając na łokieć. Zwój za zwojem. Systematycznie. Nawet nie zdążyła się zastanowić nad niezwykłością tego zdarzenia, a już miała na ręce geste porcje złotej nici. Tyle, ile, mniej więcej, potrafiła utkać na prząsłicy przez kilka wieczorów. Jednak wtedy, kiedy spojrzęła na lewą rękę i zobaczyła pęk złota, zdała sobie sprawę z tego, co się stało. Przestraszyła się i z prawej ręki wypuściła wyciąganą z wody i nawijaną na przedramię lewej ręki nici. Wtedy rozpoczął się odwrotny proces. To, co się nawijało do tej pory, teraz zaczęło się odwijać i to w tak błyskawicznym tempie, że nawet prześcigało śmiganie kołowrotka. Tylko złote promienie, jak szpilki, kłudy niczym szylety jej oczy. Nim się zorientowała, nić skrzyła się pod taflą jeziora.

Wstającej z kolan babci, wydawało się, że słyszy, jakby dochodzący z głębi głos: „po coś puściła”.

Czytelniczka z Sandomierza



## Opowieści trochę dziwne, ale prawdziwe SPADŁA Z NIEBA



Gotowałam, jak zwykle, obiada - opowiada 83-letnia mieszkanka Janowa, Stanisława Bańczerowska. Było ciepło i drzwi od domu były otwarte. Nagle na progu zobaczyłam młodą dziewczynę ubraną w kombinezon. Nieznajoma powitała mnie słowami: dzień do-

z domu na drogę. Ujrzałam krzącającego nad Janowem samolot. Zdziwiło mnie to trochę. Czyżby ktoś ze znajomych nim leciał? W końcu jednak odleciał w stronę lasu. Wróciłam więc do domu i zabrałam się za gotowanie obiada. Robiłam pierogi. Wtedy to pojawiła się nieznajoma w kombinezonie - o czym już mówiłam. Telefon mamy w pokoju, więc tam zaprowadziłam lotniczkę. Zaczęła wykręcać jakieś numery, ale z drugiej strony nikt nie odpowiadał. Zrezygnowana wróciła



spodziewany gość poprosił o zgodę na wyniesienie krzeselka na podwórko. Dziewczyna chciała sobie posiedzieć na świeżym powietrzu. Po paru minutach w pokoju zadzwonił telefon. Dziewczyna podbiegła do niego i zaczęła z kimś rozmawiać. Po chwili wróciła do kuchni. Telefon znowu się odezwał. Tym razem ją odebrałam. Po drugiej stronie był ojciec dziewczyny, który pytał mnie o stan zdrowia córki. Potem jeszcze kilka razy dzwonił telefon. W końcu lotniczka postanowiła wrócić na miejsce katastrofy. Zaproponowałam jej, że pójdziemy razem. Wyszliśmy więc z domu w stronę zagajnika za domami. Jednak po pewnym czasie nogi odmówiły mi posłuszeństwa i powiedziałam jej: do

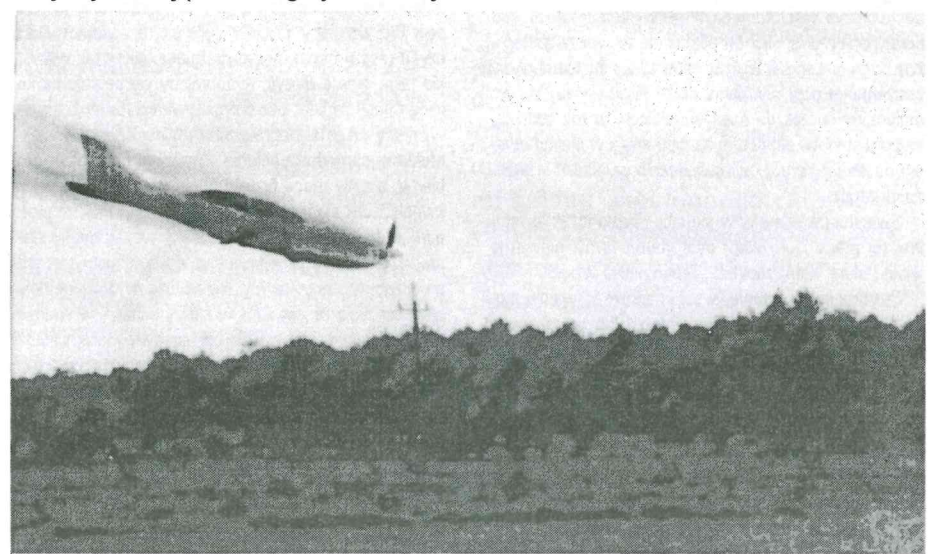


kuchni i usiadła przy stole. Poprosiła o szklankę herbaty. Zrobiłam jej szybko ten napój i zapytałam, czy by czegoś nie zjadła. Dziewczyna odrzekła, że nie jest głodna. Siedzieliśmy przy stole i rozmawiali. Pytałam ją o szczegóły lotu. Czy bry. Po czym zaraz dodała pytanie: - Czy ma pani telefon? Odpowiedziałam, że mam, ale zapytałam: - Chcę wiedzieć dla kogo. Skąd ta krew na rękę? Wtedy bowiem dostrzegłam na ręku dziewczyny strużkę krwi, a na brodzie zadrapania, a także zauważyłam, że nieznajoma jest czegoś przestraszona.

Nieznajoma zaczęła mówić:  
*Leciałam samolotem z Radomia i po pewnym czasie zaczął się psuć jego silnik. Przestraszyłam się i złapałam za spadochron. Wyskoczyłam z samolotu, który poleciał już sam w kierunku lasu (biedrzychowskiego - przyp. J.M.) i tam się rozbił. Opadłam na krzaki i zsuwając się w dół, gałęzie mnie podrapały.*

Gdy tak słuchałam opowiadania nieznajomej, przypominałam sobie, że kilkadziesiąt minut temu, gdy krzątałam się w kuchni, usłyszałam warkot samolotu, który dość długo się utrzymywał. Na tyle długo, że zaciekawiona wyszłam

do kuchni i usiadła przy stole. Poprosiła o szklankę herbaty. Zrobiłam jej szybko ten napój i zapytałam, czy by czegoś nie zjadła. Dziewczyna odrzekła, że nie jest głodna. Siedzieliśmy przy stole i rozmawiali. Pytałam ją o szczegóły lotu. Czy



ktoś z nią jeszcze leciał, czy się nie boi latać, przecież ma dopiero - jak wcześniej powiedziała - 19 lat. Odpowiedziała, że nie, bo jest studentką II roku Wyższej Oficerskiej Szkoły Sił Powietrznych w Dęblinie. Po kilkunastu minutach nie-

spodziewany gość poprosił o zgodę na wyniesienie krzeselka na podwórko. Dziewczyna chciała sobie posiedzieć na świeżym powietrzu. Po paru minutach w pokoju zadzwonił telefon. Dziewczyna podbiegła do niego i zaczęła z kimś rozmawiać. Po chwili wróciła do kuchni. Telefon znowu się odezwał. Tym razem ją odebrałam. Po drugiej stronie był ojciec dziewczyny, który pytał mnie o stan zdrowia córki. Potem jeszcze kilka razy dzwonił telefon. W końcu lotniczka postanowiła wrócić na miejsce katastrofy. Zaproponowałam jej, że pójdziemy razem. Wyszliśmy więc z domu w stronę zagajnika za domami. Jednak po pewnym czasie nogi odmówiły mi posłuszeństwa i powiedziałam jej: do widzenia skarbuniu, ale ja już wrócę, bo mam chore nogi. Dziewczyna podziękowała za wszystko i poszła dalej. Zabrał ją prawdopodobnie helikopter.

Spisał Józef Myjak,  
foto Marian Sus

## Na regionalnej półce ZNAD OPATÓWKI

W poprzednim numerze „Ożarowa” anonsowałem w tej rubryce Melanii Gorajowej „Wspomnienia gospodyni wiejskiej z drugiej wojny światowej”, książkę z rodzinnego cyklu potomków powstańca styczniowego, Antoniego Szelągiewicza, a w tym również mam możliwość zaprezentowania aż dwóch pozycji z tego samego kręgu. Wspólną cechą tych różnych stylistycznie napisanych i różnorodnych tematycznie książek są ludzie (kilka rodów) i przestrzeń - Sandomierszczyzna.

Pierwsza z nich to przypomnienie twórczości Stanisława Młodożeńca, jednego z najwybitniejszych pisarzy nurtu wiejskiego w polskiej literaturze i zarazem współtwórcy literackiego futuryzmu w naszej kulturze. Dlaczego właśnie jego chciała przywołać Aniela Ożdżyńska, współinicjatorka i autorka tej rodzinnej serii? Otóż Stanisław Młodożeniec był sąsiadem oraz kolegą jej matki, Melanii Gorajowej (z domu Borkowskiej) z Janowic (już dobrze znanej naszym Czytelnikom), która dzieciństwo spędziła w nowym Pielaszowie, graniczącym z Dobrociami, malowniczo położonej w dolinie Opatówki, magicznej rzeki, rodzinnej wsi pisarza. Wprowadził on zresztą sandomierską wieś do literatury. Bohaterem jednego ze znakomitych opowiadań - „Sołty-

sowej obrazu” - jest Józef Borkowski, dziadek Anieli Ożdżyńskiej, jeden z osiadłych na początku XX w. kolonistów w Pielaszowie. Omawiana książeczka zawiera również drugie kapitalne opowiadanie Stanisława Młodożeńca pt. „Wyścigi” oraz szkic Anieli Ożdżyńskiej „Sąsiadów Stasiek” o związkach rodzin Młodożeńców i Borkowskich. Całość zamyka biogram Stanisława Młodożeńca.

Dla naszych czytelników „Ożarowa” lektura opowiadania „Sołtykowa obrazu” i „Wyścigów” może być nie tylko świetną przygodą literacką - wspaniałą język przeszłej Sandomierszczyzny i fabularne zaciekawienie, ale swoistym dokumentem artystycznym. Stanisław Młodożeniec przypomina bowiem frajające, często jednak trudne, decyzje pouwłaszczeniowej kolonizacji w Sandomierskiem. Głód ziemi u chłopów wywoływał konflikty między zasiedziałościami mieszkańcami wsi a przybyszami - kolonistami. Tak też się działo w okolicach Ożarowa.

W dolinę Opatówki przenosi nas kolejna książka z rodzinnego cyklu potomków powstańca Antoniego Szelągiewicza. Tym razem po pióro sięgnęła Stanisława Kiljańska-Smoła, wydając „Moje Galkowice”. Jest to przelana na papier gawęda rodzinna, jakie in-

teligentne babcie, wyłączony telewizor, jeszcze i dziś czasami opowiadają wnukom. Zaletą „Moich Galkowic” jest prosta, bez siłowania się na eksperymenty literackie, narracja o ludziach i sprawach bliskich autorce. Tu trzeba wspomnieć, że Stanisława Kiljańska-Smoła od 16 lat mieszka w Szwecji i zapewne spisanie wspomnień jest symbolicznym łąčeniem się z rodzinną wsią, wspaniałością dzieciństwa spędzonego w urokliwej podsandomierskiej wsi Galkowice. Warstwę literacką uzupełnia w tej książce obszerny „Album rodzinny”, ułożone chronologicznie zdjęcia ludzi i miejsc wcześniej opisanych. Urodziwe są szczególnie stare zdjęcia czarno-białe z charakterystycznym nalotem różnych odcieni brązu, cechującym dawne fotografie. Także dobre technicznie. Gorzej natomiast wypadły zdjęcia z nowszych czasów - kolorowe, zarówno pod względem kadrowania, jak i technicznym.

Stanisław Młodożeniec, „Sołtykowa obrazu. Wyścigi”. Postowie Aniela Ożdżyńska, Sandomierz 2001. Wydawnictwo Diecezjalne w Sandomierzu.

Stanisława Kiljańska-Smoła, „Moje Galkowice”. Redakcja Krzysztof Burek, Sandomierz 2001. Wydawnictwo Diecezjalne w Sandomierzu.

J. Myjak

## Parę słów o gwarze w opowiadaniu „SOŁTYKOWA OBRAZA”

Ileż to wracaliśmy w domu rodzinnym do lektury opowiadania Stanisława Młodożeńca pt. „Sołtykowa obrazu”, nasza mama Melania przypominała, że zapisuje ono samą prawdę o życiu mieszkańców wsi Dobroć i „Nowy Pielaszów” na początku XX wieku.

Ważnym elementem tej prawdy jest stylizacja gwarowa, która jednakże dziś może stanowić pewną barierę dla młodego czytelnika, ponieważ gwary zanikły w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Proces integracji gwar z językiem ogólnopolskim uległ przyspieszeniu po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. przyczyniły się do tego: wzmożone kontakty ludzi z różnych dzielnic, szkoła, książka, prasa, radio.

W latach mojej młodości słyszano się jeszcze gwarę u najstarszych mieszkańców wsi. W 1970 r. oczekiwałam na stacji PKS-u w Opatowie, obok mnie rozmawiały dwie starsze kobiety. Zaskoczona i poruszona tym, że słyszę tutejszą

gwarę, zanotowałam wyniki rozmowy.

... gros tu „okregly”...

... nie będzie casu „odyś”...

... jaz za krótko, „okiez ji gnozdzo nie wylowie... (na widok minispodniocy). Kobiety pochodziły z Modliborzyc.

Zdarzało się też słyszeć w mowie starych ludzi tylko pewne elementy gwary. Nasz ojciec opowiadał.

Brat mojej babki Petroneli był k a j s rządcą. Kiedy w 1933 r. zaczęłam uczęszczać do szkoły w Janowicach, wiele dzieci mówiło gwarą. Klasowy prześmiewca wołał:

Anielka szaszta! Anielka szadzi!

Takie „przesadzone” słowa wkłada narrator w usta Józefa Borkowskiego, który na początku XX wieku zakładał gospodarstwo ogrodnicze w „Nowym Pielaszowie”. Miejsowa społeczność przedrzeźniała jego mowę, prześmiewała się z „cudacznych” słów nowego sąsiada. Nikt tam do-

ąd tak nie mówił - oprócz „dziedzica Malickiego”. Gwara była mową obowiązującą.

W opowiadaniu podziwiamu humor narracji, bujność języka, który wzbogaca ją licznymi gwarowymi słowami, np. chabany, sijajniasty, kaj niekaj. Z ceck fonetycznych łatwo rozpoznamy mazurzenie, tj. zastępowanie spółgłosek cz, dz, sz, z przez c, dz, s, z, np.: zycliwy, dołozyc, osalała, jesce. Zapisana została także zatriata rezonansu nosowego samogłosek e, a: majo, stod, jezorem i inne.

Opowiadanie „Sołtykowa obrazu” jest dla nas, potomków Józefa Borkowskiego, tym cenniejsze, że nie mamy Jego fotografii.

Opracowała Aniela Ożdżyńska  
PS. Obecnie w Muzeum Okręgowym w Sandomierzu czynna jest interesująca wystawa poświęcona życiu i twórczości Stanisława Młodożeńca (red.)



## ŚLEPO ZAPATRZENI

Kilka tygodni temu w telewizorze paniienka rzeczniczka prasowa miejskiej komunikacji w Warszawie pewnie oświadczyła, iż dlatego w stolicy wprowadzono kilkadziesiąt rodzajów biletów autobusowych, że tak zrobiono w Londynie. Nawet jednym słowem nie wspomniała, że ten zabieg kosztował potężne pieniądze, że w Warszawie zrobił się potworny bałagan, że same z tego nowego systemu kłopoty.

Dlaczego przytaczam ten przykład? Dlatego, że w ostatnim dziesięcioleciu ślepe naśladowanie Zachodu przybrało charakter zakaźnej choroby. Kiedyś poeci wieszчили o tym, że, jak mówią dziś małe dziewczynki do siebie - papugujemy inne kraje. Naśladownictwo, czyli nadmierna francuszczyzna, włoszczyzna, niemczyzna było przyjmowane przez większość Polaków ironicznie. Dlatego też moda mijala i tożsamość narodowa wychodziła z tych przygód bez szwanku. Wyszła również zwycięsko ze znacznie poważniejszych zagrożeń, jakimi były zaborcy i II wojna światowa oraz powojenna sowietyzacja. Niestety teraz, właśnie w wolnej Polsce, grozi nam prawdziwe niebezpieczeństwo.

Szczególnie w sferze kultury symbolicznej oraz w kręgu rozwiązywania spraw społecznych. Efekty nowego wszyscy doświadczają na sobie. Wystarczyło 10 lat, żeby zmienił radykalnie udział w kulturze przeciętnego Polaka. Niemal całkowicie jego czas wolny został zdominowany przez treści amerykańskie sącące się nieprzerwanie z mass mediów. I nie tylko chodzi mi o produkty anglojęzyczne, ale również o twórczość telewizyjną na-

szych autorów, którzy ślepo zapatrzili się w Zachód. Nie tak dawno przecież polska telewizja miała swoją tożsamość. Tak samo jak polski film, gazeta. Odbiorcy potrafili znakomicie odrzucić to, co było propagandową daniną, od tego, co wartościowe. Teraz mają tylko medialną papkę. Ta zaraza jest pozornie niegroźna, łagodna, ale swoje robi. Napiszę przewrotnie: całe szczęście, że Polacy tak słabo znają języki obce, szczególnie angielski. Opóźnia to znacznie proces wynarodowienia.

Coraz częściej można w domach Ożarówscy zobaczyć taki oto obrazek obyczajowy: niedzielne popołudnie, piękna letnia pogoda, na głównej wiejskiej drodze pusto i cicho. Ławeczki przed furkami pokryte kurzem. Zaglądam do pierwszego z brzegu domu. Domownicy, od nastolatków do sędziwych emerytów - wpatrzni w ekran, gdzie rozgrywa się akcja kolejnej telenoweli. Pytam starszą kobietę, co z ich zespołem artystycznym KGW. Odpowiada, że kobiety nie mają czasu na próby w niedzielę, bo oglądają swoje ulubione seriale i straciłyby wątek. Widząc irytację na twarzach pozostałych widzów, wycofuję się z tego zaczarowanego szklanym ekranem domu i stwierdzam, że faktycznie w ostatnich czasach ciągle słyszę, że wszyscy nie mają czasu. A przecież obecnie mniej się robi niż dawniej. Znacznie więcej ludzi nie pracuje zawodowo. Przecież mamy kilka milionów bezrobotnych, traktory zdobyły pola, w sklepach nie ma kolejek, dzieci na wsi rodzi się coraz mniej, życie organizacji niemal całkowicie zamar-

na to Szmulowie. Trudnili się fryzjerstwem i muzykowaniem. Ponieważ mój Tatusz Florian był muzykiem, nietrudno było o nawiązanie znajomości, co było powodem, że ja jako młody „Gliniak” też byłem znany wśród Żydów muzyków, bo już wówczas dobrze grałem na skrzypcach. Pamiętam wesele żydowskie sprzed wojny. Uroczystość ta odbywała się w dawnym domu, naprzeciw obecnego mieszkania Józefa Chablaszka. Zaproszony byłem przez młodego, można rzec, kolegę Żydka muzykanta. Miałem okazję poznać zwyczajnie i obyczajowo uroczystości weselnych. Żyd Boruch i mój Tatusz zaprzyjaźnili się z tej to przyczyny, że obaj z tego rejonu byli powołani na komisję wojсковą do Opatowa. Byli tam 3 dni, jak mi wiadomo. Po odbyciu komisji, grupa 10-osobowa ciągnęła tzw. losy. Kto wybrał 10 numer, był zwolniony ze służby powołania do wojska. Tak się złożyło, że mój Tatusz i Żyd Boruch w swoich grupach losowań wyciągnęli numer 10. Ucieszeni z tego zajścia; powstała między nimi przyjaźń. Były trudne czasy, tak się złożyło, że Boruch, który prowadził warsztat i sklep z obuwiem, nieraz udzielał Tatusiowi ulgi i kre-



to. W bibliotekach też się zrobiło przestronnie. Nawet księża narzekają, że frekwencja w kościołach spadła, ostatnio wyraźnie i taca pusta. Gdzie są więc ludzie, co robią w tzw. wolnym czasie? Wciągnięci w „ramówki programowe” naszych stacji telewizyjnych, wzorowanych na amerykańskich, siedzimy zniechęceni przed szklanym, magicznym pudełkiem. To również narkotyki.

Najgorsze jest to, że ludzie coraz mniej czytają i coraz mniej rozmawiają. Bez słów nie ma myślenia, a bez myślenia - człowieka. Kiedyś, gdzieś do końca XIX w., chłop zazwyczaj był niepiśmienny, ale miał bogatą kulturę umysłową opartą na słowie mówionym. Teraz już jej nie ma. Oddala się też od słowa pisanego. Same obrazki nie wystarczą.

Najgorsze jest to, że rodzice zbyt opieszale (albo wcale tego nie robią) zachęcają swoje pociechy do kontaktu z książką, słowem drukowanym. Sami zresztą nie dają dobrego przykładu - rzadko widać ich z zadrukowanym papierem. A bez nawyku czytania nic nie wyjdzie z nauki. I nie uwierzę, że to brak czasu. Raczej niechęć do tej formy pracy umysłowej.

Józef

dytu w zaopatrzeniu obuwiu. Znana była w okolicy Ożarowa rodzina handlująca zbożem. Ojciec Jankiel, syn Jue mieszkali w domu, który po wojnie zajął Józef Chablaszek ze wsi Karsy. Giezeń mieszkał około zabudowań Kowalczewskich. Rodzina Gerszeniów ukrywała się u Polaków w wioskach blisko nawet Ożarowa. Niestety, pewno na skutek zdrady żandarmi niemieccy ujęli rodzinę Gerszeniów. Rodziców i trójkę dzieci w jasny dzień targowy trzech żandarmów prowadziło przez Ożarów na cmentarz żydowski. Gerszeniowa jedno dziecko niosła na rękach. Szli od strony wioski położonych od zachodu okolic Ożarowa. Spoglądali ostatni raz na swój dom. Świadkiem tego zdarzenia była moja mamusia, która tego dnia wybrała się do Ożarowa. Ten widok przeżyła niesamowicie, choćby z tego względu, że z tą rodziną żydowską żyli w przyjaźni. Rozstrzelano ich na kirkucie w Ożarowie, wiele ludzi widzieli.

Szczęść Boże!

Jan Ogonowski

(zachowano oryginalny styl wypowiedzi Autora)

## CHLEB W NASZEJ TRADYCJI

O zlepku żytni! O kruszyno marna!  
Jakże twe dzieje ciekawe dla człeka!  
Z twoimi losy jak ściśle się splata,  
I jasny pałac, i chruściana chata!

W. Syrokomla

Tak o chlebie pisał dziewiętnastowieczny polski poeta. Pisali o nim wielcy powieściopisarze w wielu swych utworach, zwłaszcza w czasach, gdy chleb stanowił wielki rarytas, był przedmiotem tęsknot i marzeń. O chlebie jest chyba najwięcej polskich przysłów ludowych, a przecież przysłowia są mądrością narodu.

Chleb - ile w tym słowie mieści się treści! Słowo to jest zarazem symbolem, kluczem. Chleb jest potrzebny każdemu człowiekowi do życia. Dostatek chleba zawsze świadczył o dobrobycie ludności danego kraju.

Kult i symbol chleba nabrał nowych treści wraz z przybyciem do naszego kraju wiary chrześcijańskiej. Chleb nazywano świętym chlebem, a Ziemię Świętą Ziemią Rodzicielską. Całowano chleb ze czcią, leżał na stole w każdym domu i witał gości, zapraszając do spożycia, choćby kawalczka. Leżącego na stole chleba, nie wolno było odwracać spodem do góry, bowiem wierzono, że chleb może się odwrócić od takiego domu. Nie wolno było w obecności chleba klócić się, przeklinać, siedzieć w czapce na głowie. Tak samo nie wolno było siadać na snopy żytnie ani na worki ze zbożem, nawet wiezione do siewu, na targ czy do młyna.

Pieczenie chleba należało do wielkiego ceremoniału. Chleb piekło się najczęściej raz na tydzień, w sobotę, aby w niedzielę był świeży. Bochny ważyły nieraz od 3 do 5 kg, posypywano je kminkiem, czarnuszką lub makiem.

Przestrzegano zwyczaju, aby pierwszego wyjętego z pieca bochenka nie krajać nożem, ale łamać ręką, tak jak

to czynił Chrystus w Wieczerniku podczas Ostatniej Wieczerzy.

Moja mama przed ukrojeniem pierwszej kromki od spodu chleba kreśliła znak krzyża i mówiła: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”. Tak czynił każdy domownik, który napożył nowy bochenek, a jeśli kromka spadła na ziemię, podnosiło się, całowało. Tak postępuję do dziś.



Chleb towarzyszył rozpoczynaniu najważniejszych prac gospodarczych. Górale beskidzcy przed pierwszą orką dawali wołom chleb i miód, aby były silne. Często gospodarz stawiał bochen chleba w miejscu, gdzie miał zaczynać orkę i prosił Boga, by dał mu tyle w przyszłym plonie, by starczyło dla niego, dla rodziny i dla ptactwa.

Również przy rozpoczynaniu zniw nie mogło zabraknąć chleba. Żniwa rozpoczynała kobieta, a więc osoba, która piecze chleb. Ona przynosiła na pole chleb, który pozostawał tam jako ofiara!

Chleb towarzyszył narodzinom dziecka, obrzędowi weselnemu i pogrzebowemu stypom. Szczególnie wzruszająca jest chwila w czasie uroczystości weselnych, gdy młoda para otrzymuje od matki

bochen chleba z życzeniem, by nie brakowało go w nowej rodzinie.

Warto dodać, że ten powszedni pokarm również był lekiem na wiele dolegliwości. Chleb przeżuty z krwawnikiem lub pajęczyną przykładano na rany. Tamowano w ten sposób też krwotoki (tego rodzaju leczenie ran było powszechne aż do czasów powojennych.).

Jadanie razowego chleba było lekiem przy biegunkach. Na wrzody sporządzano masę z chleba i miodu, a by była skuteczniejsza, mieszano ją z zakwasem chlebowym i przechowywano w zamkniętym naczyniu. Okłady z bułki moczzonej w mleku leczyły bóle gardła, zastrzały czy ropienie palców. To tylko niektóre zalecenia tzw. medycyny ludowej.

Zbliża się Wigilia - ten szczególny dzień w naszej polskiej tradycji. Łamanie się opłatkiem to przecież nic innego, jak dzielenie się chlebem - symbolem całorocznej pracy. Przy nim składamy życzenia przebacząc sobie różne nieporozumienia, winy, swary. O chleb powszedni prosimy Boga w pacierzu: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...”.

Na koniec pozwolę sobie wrócić do poprzedniego artykułu i ponownie postawić pytanie: Czy dzisiaj szanujemy chleb?

Spróbujmy sami sobie na nie odpowiedzieć, a może wówczas nie wyrzucimy kromki chleba do kosza na śmieci, nasze dzieci nie będą go wpychać za kaloryfer w sali lekcyjnej, chętniej schyła się po kromkę rzuconą na korytarzu czy w szkolnej stołówce.

Szacunek do chleba należy wpajać w rodzinie od najmłodszych lat.

Moje refleksje zakończę przysłowiem („Księga przysłów polskich”)

„Kto chleba nie szanuje, tego chleb nie wianuje”.

Elżbieta Sochacka

PS. A może ktoś z czytelników „Ożarowa” pamięta tradycje związane z chlebem, dotyczące naszej gminy, i chciałby o nich napisać? Zachęcamy.



Listy od Czytelników 

## CICHY JUBILEUSZ

I etap - dotyczy krótkiego życiorysu i stanu mojej rodziny. Urodziłem się w Grochocicach, w rodzinie wielodzietnej. Początkowe nauczanie pobierałem w Jankowicach, Daromlinie i Bidzinach. Szkołę średnią rozpocząłem w gimnazjum w Sandomierzu. Naukę przerwała mi wojna w 1939 r. Po czteromiesięcznej przerwie z początkiem 1940 r. kontynuowałem naukę w Warszawie na legalnych kursach, przygotowujących do szkół zawodowych II stopnia. Ukończenie w/w kursów dawało mi podstawę ubiegania się, po pomysłnym zdaniu egzaminów wstępnych, o przyjęcie do Szkoły Budowy Maszyn im. Wawelberga i Rotwanda w Warszawie. Szkoła ta była wówczas jedyną legalną uczelnią w Generalnej Guberni. Ukończyłem ją w czerwcu 1944 r. i zaraz wyjechałem do rodzinnej wioski, gdzie wkrótce rozpoczęły się działania wojenne na przyczółku sandomierskim. Z powodu wojny znalazłem się przymusowo z częścią rodziny w strefie opowanej przez Rosjan. Dopiero po wznowieniu ofensywy Armii Radzieckiej w połowie stycznia 1945 r. i zmianie linii frontu mogliśmy wrócić z wygnania i połączyć się z pozostałą częścią rodziny w Grochocicach. Dom rodzinny został obrócony w stos gruzu i zgliszcz, zamieszkaliśmy w bunkrze ziemnym pozostawionym przez Niemców. Był to okres niezwykle trudny, gdyż nie mieliśmy żadnych środków do życia, pozostało nam tylko zniszczone ubranie na sobie. W tej sytuacji postanowiłem pilnie wyjechać na Śląsk w poszukiwaniu pracy. Na Śląsku dymiła jedynie „Huta Pokój” w Nowym Bytomiu, gdzie zostałem natychmiast przyjęty do pracy w dniu 1 marca 1945 roku. Pracowałem tam dwa lata. W tym okresie udało mi się, przy wydatnej pomocy finansowej mojego starszego brata Jana (już nieżyjącego), wybudować małe mieszkanie (pokój z kuchnią) dla rodziny, która przez trzy lata od 1945 roku do 1947 roku, mieszkała w bunkrze. Ja zaś zdecydowałem się rozpocząć z początkiem marca 1947 roku studia na wydziale mechanicznym Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu, pracując doraźnie na swoje utrzymanie.



Studia wyższe ukończyłem w roku 1950, uzyskując tytuł inżyniera mechanika. Żona moja pochodzi z Janowic, ukończyła wydział historii na Uniwersytecie Łódzkim. Mamy jedną córkę Ewę, po studiach medycznych, oraz wnuczkę Paulinę, która jest studentką drugiego roku polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim.

II etap - przebieg pracy zawodowej.

W dniu 15 sierpnia 1950 roku rozpocząłem pracę w Dyrekcji Budowy Zakładów Płyt Pilśniowych w Warszawie, z odelegowaniem do oddziału w Czarnej Wodzie w województwie gdańskim. Tu pracowałem do zakończenia montażu i oddania pierwszego w Polsce Zakładu Płyt Pilśniowych do pełnej eksploatacji w dniu 22 lipca 1951 roku. Z początkiem sierpnia 1951 roku zostałem oddelegowany do drugiego oddziału Zakładów Płyt Pilśniowych w Koniecpolu koło Częstochowy jako kierownik montażu. Uruchomienie zakładu i oddanie do pełnej eksploatacji nastąpiło 22 lipca 1953 roku. W październiku 1953 wróciłem do Warszawy, do Biura Projektów Przemysłu Drzewnego. W biurze tym pełniłem różne funkcje - od projektanta konstrukcji urządzeń przemysłu płyt pilśniowych i wiórowych, kierownika zespołu projektowego, kierownika pracowni technologicznej i konstrukcyjnej, a w końcu wykonywałem obowiązki członka zespołu sprawdzającego, do czasu przejścia na emeryturę w 1985 roku. W czasie mojej 35-letniej pracy w naszym przemyśle płyt pilśniowych i wiórowych brałem bezpośredni udział w pracach przy projektowaniu, budowie, montażu i rozruchu tychże zakładów. Zatem jestem jednym z pionierów budowy nowego przemysłu płyt pilśniowych i wiórowych w Polsce.

III etap - szczególne osiągnięcia zawodowe.

Chciałem się podzielić z Szanowną Redakcją miesięcznika „Ożarów” oraz Czytelnikami tego pisma następującą informacją. Otóż w lipcu tego roku - 2001 upłynęło 50 lat od uruchomienia pierwszego Zakładu Płyt Pilśniowych w Czarnej Wo-

dzie, województwo gdańskie, przy moim udziale w jego budowie. Był to dla mnie pewien cichy jubileusz, który skłania do refleksji i podsumowania mojej działalności w tej branży. Pierwsze trzy Zakłady Płyt Pilśniowych, zlokalizowane w Czarnej Wodzie, Koniecpolu i Nidzie Ruciańskiej, były wyposażone w maszyny, urządzenia, technologie i dokumentację zakupione w Szwecji. Natomiast zakład Koniecpol II, tzw. druga hala produkcyjna (z dwoma ciągami płyt twardych), uruchomiona w latach 1957-1960, której byłem głównym projektantem, była wyposażona już w maszyny i urządzenia produkcji polskiej. Po roku pracy zakład ten osiągnął pełną, projektową zdolność produkcyjną. Stan załogi wynosił wówczas ponad 1200 pracowników. Był to niewątpliwie dla mnie jako autora duży sukces, ale nie tylko mój, był to także sukces całego naszego przemysłu maszynowego, który opanował technologię produkowania specjalistycznych maszyn i urządzeń dla przemysłu płytowego. Znalazły one zastosowanie w zakładach w Przemysłu, Czarnkowie i w Karlinie, a także znalazły chętnych nabywców zagranicznych. Właściwie od roku 1960 nastąpił dynamiczny rozwój przemysłu płyt pilśniowych i wiórowych w Polsce. W roku 1966 Ministerstwo Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego zatwierdziło lokalizację w Koniecpolu Zakładów Remontowo - Montażowych dla przemysłu płytowego, sklejek zapalek, tartaków i mebli, a więc całego przemysłu drzewnego. Dyrekcja Biura Projektów powierzyła mi funkcję głównego projektanta tych zakładów oraz prowadzenia nadzoru autorskiego przy ich budowie. Budowa tych zakładów podzielona została na dwa etapy; pierwszy obejmował realizację w latach 1967-1970, drugi zaś lata 1971-1973. Przekazanie ich do użytku nastąpiło pod koniec 1973 roku. Pełne zatrudnienie wynosiło wówczas około 1000 pracowników.

Myszę, że dla Koniecpola w województwie świętokrzyskim zrobiłem kawał dobrej roboty. Lata mijają, my odchodzimy, ale pozostają po nas fabryki, które jeszcze długo będą produkować dla dobra wszystkich obywateli naszego kraju. Jestem już w podeszłym wieku - skończyłem 77 lat, ale co roku na miesiące letnie przyjeżdżam z rodziną do rodzinnych Grochocic, by „poddychać świeżym powietrzem” i cieszyć się urokiem pięknego Sandomierza, a także jego okolic wraz z rozwijającym się przemysłowo i kulturowo Ożarowem.

Stefan Zieliński  
Warszawa

(zachowano styl wypowiedzi Autora)

## CZAS ZATRZYMANY NA KLISZY - ZAWADA-BAŁTÓWKA-PODLESIE

ze zbiorów rodzinnych: Chruściaków, Liwińskich, Matyjasków



Komunia Haliny Liwińskiej



Młodzież z Zawady - lata 30.



Ślub Czesława i Zofii Zawadzkiej - Zawada lata 40.



Chłopski pogrzeb - rodzina Liwińskich przy trumnie Genowefy Liwińskiej, lata 50.



Emilia Chruściak z koleżanką



### OZARÓW PISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE SAMORZĄDU GMINY OZARÓW

Wydawca: P.H.U. SZOSTAKDRUK. Adres redakcji: Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Ożarowie, ul. Stodolna 3. Redaktor naczelny: Józef Myjak PAIR Myjakpress. Redakcja: instruktorzy M-GOK, Marcin Kwieciński, Marian Sus, Janusz Czuba, Wiesława Mroczek, Korekta: Janusz Czuba. Foto: M. Sus, J. Myjak DTP i druk: „SZOSTAKDRUK”  
Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, korekty gramatycznej i ortograficznej oraz ograniczonej ingerencji w stylistykę poszczególnych wypowiedzi.



# OŻARÓW

Samorządowe pismo społeczno-kulturalne

Nr 11/31 listopad 2001 Rok III ISSN 1507-7438 Nakład 1000 egz.



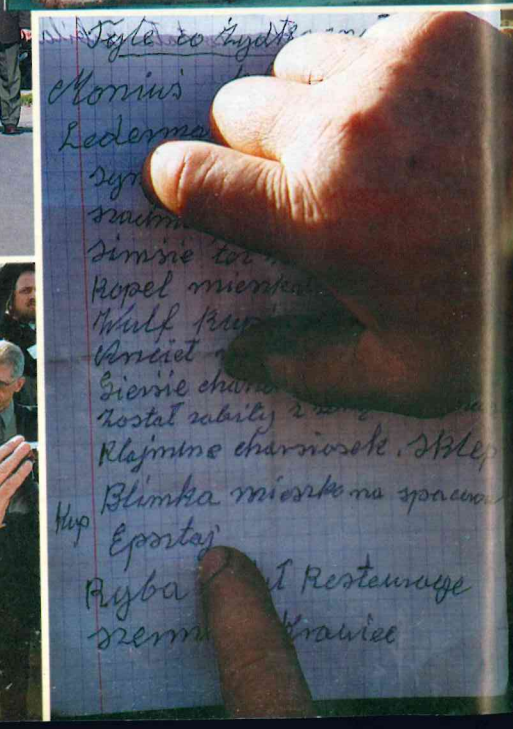
© PAIR MYJAKPRESS



## ŻYDZI W OŻAROWIE

15.10.2001

czyt. str. 10



## JANOPOL - PIOTRÓW

Wies Janopol składa się z części: Dąbrówka, Las Staboszewski, Nowy Janopol i Piotrów. Występują też obiekty fizjograficzne, pola: Górki, Janopolskie Pola, Piotrów i leśny fragment, zwany Lasem Janopolskim. Dawniej (do reformy administracyjnej w latach 70. XX w.) Janopol należał do gromady Lasocin. Nazwa Janopol ma charakter pamiątkowy. Pochodzi od imienia Jan. Zagadkowa jest jednak dostawka „-pol”, z greckiego *polis*, co po przetłumaczeniu na język polski oznacza *miasto*. Nazwy z częścią „-pol” stały się popularne na wschodnich terenach dawnej Polski. Z najbliższych sąsiadów Janopola o podobnej etymologii należy wymienić Annopol.

Nieco światła na pochodzenie nazwy

rzucają wspomnienia Jana Kamińskiego, którego dziad, również Jan, zakupił w II połowie XIX w. z trzech okolicznych majątków dużą połąc ziemską, tzw. kopaninę, a więc pola po wyciętym lesie. A że losy rodziny Kamińskich związane były częściowo z Rosją, więc nie powinna dziwić ta nazwa. Tradycja rodzinna Kamińskich utrzymuje, że Janopol to po prostu pole Jana - ich przodka, który założył wieś. Z biegiem czasu rodzina Kamińskich rozrastała się i powstawały wciąż nowe gospodarstwa. Została założona nawet Kolonia Janopol, pod lasem od południowej strony.

Ziemia w tej wsi ma rolniczo zróżnicowaną wartość. Obok urodzajnych pól pszenno-buraczanych występują też fragmenty zupełnie kiepskich gruntów, zwane szyderczo „ziemią pszenno-jałowcówką”, czyli taką, na której z trudem rośnie nawet jałowiec. A ten do wybrednych roślin nie należy. Ta nieu-

rodzajna część współczesnego Janopola to przede wszystkim dawna wieś Piotrów, skurczona w ostatnich dziesięcioleciach do kilku zaledwie zagrod. Dlatego też została włączona do Janopola. Kolejną więc wieś zanika z Ożarowszczyzny wskutek kryzysu rolnictwa. Zresztą przyszłość Janopola również jest zagrożona.

Radykalnie zmniejsza się liczba mieszkańców, a także gospodarstw. Ta leśna miejscowość, wyrosła w XIX w. na rozległej polanie, po zaledwie stu kilkudziesięciu latach może znowu zamienić się w las, który już dziś wdziera się w niedawne pola uprawne. Rolnicy bowiem nie widzą sensu uprawiania roli na glebie klasy V i VI. Choć niektórzy, jak na przykład Potocki, zaczęli sadzić na lepszych kawałkach drzewa owocowe, a inni przyjazdy i pobyty w Janopolu traktują w kategoriach wczasowych. A jest tu spokojnie i sielsko.

J. Myjak



Fot. M. Sus